

ZBIOR

PODROZY

WAŻNYCH I CIEKAWYCH

DLA NAUKI i ZABAWY MŁODYCH

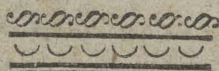
Tlumaczony z Zbioru Podrożow

PANA CAMPE I INNYCH

przez

STANISŁAWA SZYMANSKIEGO KONSYLIARZA NADWORNEGO J.K.Mci.

TOMIK I.



w KRAKOWIE 1794.

W Drukarni JANA MAYA.

PRZEDMOWA

Uiszczam się w danym słowie tym wszystkim, którzy mnie od lat kilku zachęcali do wydania w oyczystym języku iakiego dzieła dla młodych, któreby bespiecznie i użytecznie do czytania im podane bydź mogło. Zrzódłem i osnową pracy moiey naypierwey iest sławne, i powszechnie tak w Niemieckim iak w Francuzkim języku przyięte dzieło Pana Campe — recueil de voyages &c: *potym inne dzieła w tymże gatunku.*

Stosownie do kraju i okoliczności pozwoliłem sobie poczynić niektóre odmiany: i pewien iestem, iż rostropny czytelnik nie zgani mi tego postępku.

Zapowiadam wcześnie, iż dzieło to, na wiele rozwiedzie się Tomików;

które po części iuż przygotowane, ile tylko drukarnia wystarczy, wychodzić będą wciąż z pod prasy.

Czytelnikom moim, iako czytelnikom, życzę z cudzych podróży wszelkich i w rozumie i w sercu korzyści: a iako wędrownikom świata tego i życia, życzę w własney podróży wszelkich pomyślności.

PODROZ PIERWSZA

Ku Krajom Bieguna Pułnocnego

oraz

Przypadki pamiętne JAKOBA HEEMSKERKA i WILELMA BARENZA.

1.

WSTĘP.

Na sam przod, moi czytelnicy! (młodzi czy starzy, rownie wszystkim pracę moię poświęcam, lubo szczegulniey pierwszych przedsięwziąłem mieć na celu) prowadzę was do krainy bardzo zimney i odludney. Naypierwsza nasza podroż będzie do Spitzbergu i Nowey-Zemli. Co to są za kraje? i gdzie leżą? zapewne wiedzieć musicie. Wszelako poszukaycie ich na mappie, ażeby przez cały ciąg następuiącey powieści posada ich tkwiła wam w świeżey pamięci. Pierwsza mappa kuli ziemnowodney, bardzo dobrze to ukaże.

Czy widzicie sam nad Norwegią ku biegunowi pułnocnemu wyspę dosyć znaczną, z wielą innemi wysepkami drobnemi? Otoż to iest Spitzberg. Chociażby to nazwisko napisane nie było, tedy łatwo da się znaleść; ponieważ ze wszystkich krain, nam wiadomych, ta iest naybardziey podsuniona pod biegun.

Nie było nigdy dostateczney wiadomości, czyli pośrzod morza lodowatego znayduią się iakie lądy? i prawdę rzekłszy, nie wiele co ieszcze mamy zapewnienia w tey mierze. Wszakże to, co wiemy, i kto, według wszelkiego podobieństwa do prawdy, pierwszy wynalazł te kraje? da się widzieć w następuiącym opisie.

Teraz rzućcie okiem trochę niżey, ale ku prawey stronie, około brzegu pułnocnego Azyi; a da się widzieć ieszcze większa wyspa: ta iest Nowa-Zemlá. Moskale zowią ją Nowaja-Ziemla,

to jest Nowa - ziemia; ale gdy pierwsze nazwisko, przez połowę łacińskie, a przez połowę Moskiewskie jest naywięcey zażywane, przeto tego trzymać się będziemy.

Wyspa ta, oddzielona iest od Azyi przesmykiem, nazwanym przesmyk Waygatz. Proszę poszukać, musi to bydź napisane na mappie. A jeżeli nie masz napisu? nie trzeba się dziwować, ponieważ bardzo nie dawno była ieszcze między krajopisarzami wątpliwość: czyli Nowa - Zemla jest wyspą? czy też częścią lądu, wybiegłego od Azyi?

Zamkniycie teraz oczy, i doświadczaycie, czy możecie wystawić sobie w myśli położenie tych dwoch krajow, tak żywo, jak gdybyście na nie patrzali. Tak trzeba czynić z każdym krajem, z każdą rzeką, z każdym mieyscem, za każdym razem, kiedy go się szuka na mappie.

Tym sposobem skład mapp wraża się w pamięć; a w potrzebie, łacno się obeyść bez mappy, ktorą procz tego nie zawsze podorędziu mieć można. Na reszcie trzymam o moich młodych czytelnikach, iż czytaiąc następuiące opisy podrożow, nawykną szukać zaraz na mappie, tych wszystkich krain i mieysc, o ktorych wzmianka przypadnie, aż poki nie wyryią w umysłach swoich jasnego i doskonałego onych wyobrażenia. Inaczey, nie odnieśliby tych korzyści, jakie z czytania dzieła ninieyszego dla nich przeznaczam.

Chociażby wam nikt nie powiedział, że w tych krajach, o ktorych rzecz jest, panuią zimna bardzo tęgie; rozumiem, iż się sami tego domyślicie, patrząc, jak blisko podsunione są pod biegun. Ale kiedy wam powiem, iż przez znaczną część roku słońce nie przyświeca w tych krajach, a zatym noc ciągła (a) trwa w

(a) Ta ciągła noc w Spitzbergu, trwa od dnia 18,

nich; tym więcey ieszcze o natężeniu tamże zimna przekonani zostaniecie. Ci, ktorzy zabiegaią w te kraje dla połowu wielorybow; o! muszą się w dobre kożuchy opatrzyć! inaczey, przeziębliby i pomarzli od zimna.

Ale czas iest, ażebyście poznali osoby, ktorych podroż i przypadki czytać będziecie; oraz cel, ktory ich w tak okropną zawiodł krainę.

Wiecie, gdzie leżą Indye Wschodnie, i przez jakie to morza my Europeyczycy musiemy się do nich przebierać. Spoyrzycież do mappy, i zważcie, jak się to krąży daleko, gdy naprzykład odbiwszy od brzegow Hollandyi, płynie się na sam przod przez cieśninę kaletańską (pas de Calais) i kanał la manche do oceanu A-

Października aż do dnia 4. Lutego. Na wzaiem pod czas lata iest dzien ustawiczny od dnia 4. Maia aż do dnia 2. Sierpnia; przez cały ten czas słonce nie zchodząc z horyzontu świeci. W Nowey Zemli krocey trochę trwa latem ciąg dnia nieustannego, a zimą ciąg nocy.

tlantyckiego; potym jedzie się około brzegow Francyi, Hiszpanii i Portugalii ku wyspom kanaryiskim; ztamtąd ciągnie się wciąż około brzegow Afryki, aż do kapu dobrey nadziei; znowu trzeba okrążać wszystkie lądy, leżące z tamtey strony Afryki; czy to kto chce płynąć do Jawy, czy też wyżey ieszcze żegluie do Chin po herbatę, a do Japonii po złoto. Owoż tedy zamiast tak długiey i uprzykrzoney drogi, radziby Europeyczycy wynaleść inną krotszą, ale także przez wodę. Bo droga lądowa, do krajow tak odległych, iż by się na nic nie przydała, łacno domyślić się można dla czego. Z tego powodu, wielu żeglarzow, zwłaszcza Hollendrow, wziąwszy w ręce mappę ziemi i pilno ią przeglądaiąc, tak sobie pomyślili: „ Gdyby też kto puścił się w „ gorę ciągiem koło brzegow Norwegii, „ potym skręciwszy się w prawą, płynął „ około Laponii, Rofsyi Europeyskiey i „ Azyatyckiey, aż do ostatniego cypla „ Azyi, a ztamtąd dopiero spuścił się w

„ doł między Azyą i Ameryką: co? nie „ byłaż by to daleko krotsza droga doChin „ i do Indyi? Bez wątpienia — to do- „ świadczmy; rzekł jeden do drugiego. „ Zatym wyporządzili okręty i puścili się w podroż takową.

Nieochybnie snuje się wam na myśli, moi młodzi czytelnicy, iż bardzo łatwy iest wynalazek drogi takowey, ktorą pospolicie zowią: przeprawą pułnocno-wschodnią; ale ja życzę nie kwapić się z skorym zdaniem; ponieważ jakożkolwiek rzecz ta z razu zdawała by się bydz snadną, z tym wszystkim dostrzeżono w niey bardzo wiele trudności, i wcześnie wam zapowiadam, iż do tego ieszcze momentu nie posłużyło szczęście nikomu, tę przeprawę wynaleść. Dziwi to was podobno? i niepoymuiecie, co by takiego przeszkadzało uskutecznieniu tego zamiaru? Oto nic więcey, tylko jedna, ale dotąd nie przełamaną zawada. Ktokolwiek zapędził się z pułnocy na wschod da-

ley nieco za brzegi Moskiewskie, ten natychmiast uyrzał swe okręty osaczone i zaparte tak dalece, że dziękował Bogu, kiedy mu się udało wydobyć, i nazad tam, zkąd przybył, powrocić. Jaśniey rzecz tę tłumaczę. Owo morze gorne, dla niezmiernie tęgiego zimna, zawalone jest lodami; ktore, iuż to w bryłach ogromnych, właśnie niby gory pływaią; już też zcinaią się i marzną w wielkie łachy, tak jak u nas po stawach, jeziorach i rzekach w tęgie mrozy. Z tego powodu, morze to, nazwane jest morzem lodowatym. A co? dochodzicież teraz, dla czego nie tak łatwo jest przez to morze przepłynąć?

Już dawniey Hollendrzy kusili się po dwa razy wynaleść tę pułnocno-wschodnią przeprawę; ale nadaremnie. Na reszcie, jako ludzie serca dzielnego, ktorych nie łacno i nie lada zraża przeciwność, umyślili trzeci raz jeszcze pokusić się. W tym celu wyporządzono dwa okręty.

Jakob Heemskerk wyznaczony został kommissarzem czyli kommendantem tey wyprawy — kontrmistrzami, czyli jego podkommendnemi, mianowano: Wilhelma Barenza do jednego okrętu; do drugiego, Jana Korneilla Rypa. Obaczmy w następuiącym rozdziale puszczenie się ich w tę podroż.

2.

Wyjazd z Amsterdamu. Odkrycie wyspy Niedźwiedziow i wyspy Spitzberg.

Roku 1596. pierwszych dni Maja, żeglarze nasi odbili od brzegu w Amsterdamie. Dnia ośmnastego tegoż Miesiąca, minęli Vlieland, iednę z wysp, składaiących obwod Zuyderzee i wypłynęli na morze pułnocne. Czas był pogodny, wiatr wiał pomyślny: to też bystrym hysem pędzili, tak dalece, iż w przeciągu czterech dni stanęli na widoku wysp Szetlandskich,

ktore można dostrzedz na mappie europy, leżące w oceanie Niemieckim, między Szkocyą i Norwegią. Co się wam zdaje, moi czytelnicy! w czterech dniach upędzić więcey niż 180. mil, nie jestże to bardzo śpieszna żegluga?

Bieg ich zmierzał zawsze w prost ku biegunowi pułnocnemu. Po kilku dniach uyrzeli się naprzeciw Jslandyi; tey to wyspy oceanu pułnocnego, przez ktorą, jak wiadomo, krajopisarze prowadzą w myśli pas biegunu pułnocnego, czyli cyrkuł polarny. Dnia 1. Czerwca, w kilkanaście dni po przebyciu Vlieland, już byli przebiegli za 70ty stopień szerokości pułnocney; i w tedy po pierwszy raz doświadczyli dnia takiego, w ktorym im słońce cale nie zaszło. Bo w tamtey stronie pod tę porę słońce świeci bez zachodu, zostaiąc ciągle nad horyzontem, i zdaiąc się tylko niby kręcić około niego przez 24. godzin.

Wystawić sobie proszę żywo na myśli,

jak to człowiekowi, zażyłemu w krajach, gdzie na przemianę bez przestanku dzień i noc następuią po sobie, jak to, mowię, wydawać się musi dziko, kiedy znagła uyrzy się w takim mieyscu, gdzie wieczorem nie zapada słońce pod horyzont, a przez cały czas nocy, tak jasno, jak w dzień przyświeca? Z tey osobliwości może snuć się w myśli naturalny wniosek: iż w takim kraju, panować muszą niezmierne upały, zwłaszcza pod tę porę, w ktorey słońce nie zachodzi ; kiedy u nas samemi właśnie nocami ochładza się powietrze rozpalone dziennym skwarem pod czas lata. Ale nie jest tak. W krajach podsunionych pod biegun, ciągłe przyświecanie słońca grzeje tak mało, nawet latem, iż nasi wędrownicy zkościeli prawie od zimna. To osobliwość! á dla czego? oto: iż w owych stronach słońce nie wznosi się nad horyzont wyżey, jak u nas pod czas zimy: zatym promienie jego nie padaią na ziemię, tylko ukośnie. Wiadomo zaś z doświadczenia, iż w izbie daie

się czuć większe ciepło, kiedy promienie słoneczne biią do niey prosto przez okna, aniżeli kiedy z boku tylko wpadaią. Owoż taż sama jest przyczyna, dla ktorey w owych krajach, chociaż słońce świeci nieustannie, przecież nie jest cieplej, niżli u nas pod czas zimy w dzień pogodny.

Ani teraz was zadziwi, kiedy powiem, że nasi żeglarze nie báwnie uyrzeli się w pośrzod lodow, gęsto pływaiących po tym morzu. Zdarzyło się to dnia 5. lipca, gdy flisi bawiący na pokładzie okrętowym z wielkim okrzykiem wezwali swych towarzyszow, aby przyszli oglądać niezmierne stada łabęci, ku nim płynących. Zbiegli się wszyscy raduiąc wcześnie, co za przysmaki mieć będą z tych ptakow, aby tylko udało się nabić ich jak naywięcey. Ale gdy pilnięy wpatruią się, postrzegaią błąd, to iest iż ogromne kry lodow, obsypane śniegami, wzięli za łabęcie. Nie bawnie wpłynęli między nie, i nie było czasu ani ochoty myśleć o przysmakach.

Kilką dniami przedtym, osobliwe na powietrzu zjawienie uderzyło im w oczy. Uyrzeli razem trzy słońca na niebie, a co ieszcze czyniło widok ten dziwnieyszym, to były trzy tęcze, ktore przecinały się w ukos blisko tych słońcow. Co ma znaczyć to zjawienie? czyli w rzeczy samey w owych stronach znayduie się więcey słońcow, niż jedno? albo też, czy co nadprzyrodzonego zamyka się w tym zjawieniu? muszę wytłumaczyć dla niewiadomych.

I u nas trafia się że dwa, trzy, a czasem i więcey słońca ukazują się we dnie na niebie, oraz tyleż xiężycow w nocy, Zowie się to Parelie, i ztąd pochodzi. Pary ziemne, czy wapory, czasem tak grube zbieraią się na atmosferze (atmosfera, znaczy cały zbior powietrza otaczaiącego ziemię) iż promienie słoneczne, nie mogąc się przecisnąć przez nie, odbijaią się i odskakuią od nich, tak jak we zwierciadłach, ktorych skutek ten-

że sam wtedy sprawuią te pary. A więc gdy promienie słoneczne odbiją się, i odbite wpadną nam w oczy, wystawuią nam obraz słońca, tak dalece, iż ile jest odbicia, tyle też bydź może obrazow słońcá. Toż się ma rozumieć o xiężycu, gdy w podobnym stanie znaydą się jego promienie. Takowe zjawienie u nas przypada pospolicie zimą, właśnie wtedy, kiedy wiele nader parow subtelnych, zmrożone na powietrzu, zcinaią się w drobne listki lodu.

Żeglarze nasi płynęli ieszcze dni kilka, zawsze między lodami; ktore, im daley, tym bardziey w ogromnieysze bryły zbijały się. Dnia 9go lipca uyrzeli ziemię. Udali się do mapp, chcąc dociec, co to zá kray? ale w mappach nie znaleźli żadnego lądu w tym mieyscu, w ktorym zostawali. Wnieśli więc, iż to musi bydź jaki kray nieznajomy. Napięto żagle ku owemu lądowi, i wkrotce doyrzano jaśnie, że to była wyspa, długa prawie ná ośm

mil. Zarzuciwszy kotwice, niektorzy wsiedli w szalupę i przylądowali do brzegu. Naypierwsza rzecz, ktora im wpadła w oczy, było wielkie mnostwo jay ptakow wodnych, zwanych łyski, ktore pilnie pozbierali na zapas kuchenny. Dla przeyrzenia na dal rozległości całego kraju, wleźli na gorę drapiąc się na czterakach, bo tak była przykra i spadzista, iż jakby z ustawionych na urząd samych ostrych szpic zdawała się bydź złożona. Z ciężkością wprawdzie, wszelako szczęśliwie dotarli do samego wierzchołka gory. W tedy dopiero przyszło im na myśl, jak tu będzie zeyść na doł? nie pomyślili o tym, idąc na gorę; i była też to wielka nierostropność. Jaki taki spoyrzawszy na doł, zadrżał ze strachu, i ciężko żałował, uważywszy, na jakie niebespieczeństwo bez potrzeby naraził się. Wielkość niebespieczeństwa wydawała się w tym naywięcey, iż dokoła tey gory przepadzistey, styrczały sztuki

skał ostrokolczyste ; na ktore gdyby nieszczęściem! osunąwszy się wpadł człowiek, przebiłby się i poszarpał w kawałki. Ale co począć! nie pora była namyślać się i trwożyć. Zatym nie tracąc czasu i serca, opuszczali się z wolna, już na kolanach, już na brzuchu, aże szczęśliwie dostali się do dołu. Barenz, ktory pozostawszy w szalupie, patrzył na nich, już ich miał za zgubionych.

Nazajutrz ukazała im się straszliwa potwora, o czterech łapach, długa stop 12, obrosła białemi i kędzierzawemi kudłami ; z paszczęki nasadzoney ostremi kłami, dawało się słyszeć przeraźliwe mruczenie. Domyśla się podobno moy czytelnik, co to była za potwora? Oto niedźwiedź biały, zwierz rodowity krajow pod pułnocą leżących. Rożni on się od niedźwiedzia pospolitego: nayprzod swą ogromnością, ponieważ, jak się rzekło, ma długości stop 12 i więcey: potym

barwą swoią białą; a nakoniec zażartością, gdyż takowy niedźwiedź, czy to na ludzi, czy na zwierzęta, miota się bez braku, aby ie pozrzeć. Zwyczaynym jego żyrem są: ryby, cielęta morskie, i wieloryby zdechłe. Z tey przyczyny przebywa po morskim nadbrzeżu, i między zatorami morza lodowatego; umie pływać i nurkować, tak iák kaczki.

Jakożkolwiek straszny na weyrzenie wydawał się zwierz ten, czeladź okrętowa niewzdrygnęła się nań uderzyć. Postanowili nayprzod nie strzelać zdala do niego, ale ostępem nań napaść, zarzucić mu stryczek na kark, zdusić, albo żywcem dostać. Wpadli więc na szalupę co żywo, i płynęli ku niemu. Wszakże kiedy mu się z bliska przypatrzyli, znaleźli go tak drapieżnym, iż nie odważyli się chwytać go na stryczek. Poskoczyli więc do niego z siekierami i innemi narzędziami ostremi. Żwawa bitwa, trwa-

ła dosyć długo: bronił się potężnie przez dwie godziny; aż nakoniec szczęśliwym ciosem siekiery ugodzony w sam łeb, poległ niedźwiedzisko jak długi. Zawlekli go do okrętu, i odarli ze skory. Sprawili sobie bankiet z jego mięsa; zjedli; ale nie ze wszystkim przypadło im do smaku, chociaż niektorzy rozumieią, iż niedźwiedzie mięso jest tak dobre jak wołowe. „ A czemuż niema jeść, by też i „ nie smacznego mięsa ten, kto za kres „ biegunowy zapłynie? kto do koła osa„ czony iest lodami? jak może niedź„ wiedzie mięso nie smakować tam, gdzie „ nie rośnie, ani zboże, ani warzywo, ani „ żadna roślina? gdzie nie wiedzą, co „ to jatka, abo rzeźnik? a tym bardziey, „ co cielęca lub barania pieczenia? „

Ta szczęśliwa bitwa z niedźwiedziem, dała pochop do nazwania tey wyspy, wyspą Niedźwiedzią. Znaleść ją można na mappie za Norwegią ku Spitzbergowi:

może też będzie po łacinie napis: insula ursorum.

Następuiącego dnia, podnieśli kotwice, i płynęli daley ku pułnocy. Pod wieczor, to jest o tym czasie, kiedy u nas ma się dzień do schyłku, ale nie w owych stronach, gdzie wtedy słońce wciąż swieciło, wpadło im w oczy nowe dziwo, pływaiące po morzu, ktore rozumieli bydź wyspą. Gdy bliżey nadpłynęli, postrzegli, że to był zdechły wieloryb, na ktorym siedziało wielkie mnostwo ptakow łysek, objadaiących jego tłustość, a może też i wszy. Szkoda! że nie mamy sposobności wystawić prawdziwy wizerunek wieloryba! doświadczyłby czytelnik, co za widok sprawuie oku ludzkiemu tak ogromne stworzenie. Wszelako z szczegułow można sobie odrysować jego postać.

Prawdziwym gniazdem i legowiskiem wieloryba, jest morze lodowate pod obie-

ma świata biegunami: wszakże znayduią się one też często i w morzach, odsunionych od biegunow. Jest to zwierz, ze wszystkich nam znajomych nayogromnieyszy. Dawniey łowiono wieloryby, ktore na 100 a nawet na 200 stop były długie, a do 70 lub 80 stop szerokie. Ale teraz, kiedy co rok biją ich po kilka tysięcy, nie podobna im dorosnąć do postaci tak ogromney. Za naszych więc czasow wieloryby nie trzymaią więcey nad 60 lub 70 stop długości. Łeb, zda się bydź naywiększą częścią ich ciała, i zaymuie prawie połowę całey sztuki. Gardziel maią szczupły, bo tylko cztery cale szeroki, i dla tego żyrem ich są śledzie i owad morski. Skorę maią czarną, grubą na cal, przeplataną tu i owdzie kosmacizną czy włosami, do ktorych czepiaią się często rośliny morskie, korale, i ślimaki. Skora ta, podobna iest do kory drzewa porozpadaney, w ktorey pleni się wielkie mnostwo robactwa, czyli wszy,

długich prawie na cal, a ktore, kiedy wieloryb pływa po wierzchu morskich bałwanow, wydziobuią mu ptaki łyski.

Oczy ma bardzo małe w porownaniu do wielkości całego ciała; są one osadzone w końcu łba, na doł ku brzuchowi, nie większe od oczu wołowych. Na wierzchu głowy ma dwie dziury, ktoremi wchlipniętą wodę wyrzuca nazad, na wzor dwoch wyskokow wody, strzykaiących bardzo wysoko. Zwierzchnia szczęka zamyka to, co zowiemy Fiszbinem, a to iest rzecz tak wielka i tak cięźka, iż wszystka czeladź okrętowa musi ią wciągać na okręt. Dolna szczęka składa się z dwoch wielkich kości, naymniey 10 stop długich, jednę stopę szerokich, a puł stopy grubych. W Hamburgu, w Altonie, i po innych mieyscach, z ktorych wyprawuią co rok okręty na połow wielorybow, używaią tych kości na podwoje do wrot wjezdnych, albo też porznięte wko-

puią w ziemię za słupki w tych mieyscach, gdzie nie wolno jeździć konno, ani pojazdem. Cała prawie sztuka wieloryba nic innego nie jest, tylko bryła tłuszczu; i to też iest, na co godzi nieprzyjaciel jego człowiek: bo z tey tłustości robią oley wielorybi, czyli tran. Na reszcie wieloryb ma krew ciepłą, rodzi płod żywy, i karmi go mlekiem swych piersi.

Sposob łowienia czyli bicia wielorybow, iest następuiący. Jeżeli wieloryb nie pływa po wierzchu wod morskich; tedy mieysce w ktorym nurkuje, okazuią dwa wyskoki, ktoremi wodę wyparska, jako się wyżey rzekło. Gdy rybacy wyśledzą, że wieloryb nie daleko iest od nich; tedy wsiadszy w szalupy i czołny, płyną ku niemu. Na przedzie tych statkow, stoi dzirytnik, to iest człowiek trzymaiący bełt czy dziryt. To narzędzie, iest gatunek dzidy żelazney z dwiema klamrami na rękojeści drewnianey,

przywiązane do liny. Podjechawszy tuż do wieloryba (ale trzeba z wielką ostrożnością to czynić, bo jednym uderzeniem ogona, zgruchotałby cały státek na druzgi) dzirytnik wbija mu dziryt w ciało całą siłą, jaką tylko mieć może. Jak prędko wieloryb odbierze cios takowy, natychmiast rzuca się do ucieczki ; pospolicie nurza się na dno morskie, z taką chyżością, iż flisi ledwo zdążyć mogą osnowywać linę od dzirytu. Szalupa, na ktorey znayduią się rybacy, miotana bywa tu i owdzie tak bystro, jakby ią naywiększa kołatała nawałność. Tym czasem posoka wieloryba farbuie wodę morską. Tłucze się wieloryb przez długi czas po głębinie, aż na reszcie zmordowany szuka odetchnienia, i na ten koniec na wierzch wody wypływa. Natychmiast kolą go spisami długiemi i ostremi, zostawuiąc je utkwione tak dalece iż się wydaie nakształt sadu zatknionego gęsto tykami. Gdy krew uydzie wieloryba,

zadycha, i ni to wyspa pływa po wodzie. Dopiero łapią go na wielkie liny, wszystkie szalupy wprzęgaią się do nich, i tak ciągną go aż do okrętu. Otoż to taki iest połow wielorybow.

Wysiadłszy rybacy na zabitego wieloryba, wybieraią tłuszcz z niego, wyrębuią szczoki zwierzchnie, czyli to, co zowiemy fiszbinem. Obrawszy tak z jedney strony, przewracaią na drugi bok; nie tykaią mięsa ani kości, okrom dwoch kości szczęki spodniey, ktore zaciągaią także na okręt, a z ktorych nasączy się ieszcze z jedna beczka tłustości. Mięso, porzucaią na żyr ptastwa drapieżnego i białych niedźwiedzi.

Rozumiem, iż to krotkie wyboczenie nie nudziło czytelnika. Czas zwrocić się do naszych żeglarzy.

Dnia 17 i 18 lipca, przymuszeni byli

przebijać się przez ogromne kry lodow, płynąc zawsze ku pułnocy, i napadli na małą wyspę. Jest to jedna z tych, ktore leżą za wyspą niedźwiedzi, po niżey Spitzbergu. Nic osobliwego nie znaleźli na tey wyspie, to też puścili się w dalszą podroż.

Następuiącegò dnia ukazał im się ląd, a to jest tenże sam, ktory potym nazwano Spitzberg, od wielości gor wysokich a śpiczastych. Mniemali oni, że ta wyspa iest częścią Grenlandyi, ale się pomylili.

Dnia 21 lipca, zarzucili kotwice przed tym lądem. Część flisow puściła się czołnem do brzegu dla nabrania lestu. Lest znáczy ciężar czyli ładunek okrętu, ktory mu nadaie wagę, stosowną do rownoważności z morzem. Zeglarze nasi w tym mieyscu dopiero starali się o lest; bo upłynąwszy z kilkaset mil, i zpotrze-

bowawszy znaczną część ładunku okrętu w drzewie i zapasach do jedzenia, musieli natomiast dobierać lest z innych rzeczy, aby w stosowney wadze okręt utrzymać. Kiedy na lest uzbierawszy dosyć kamieni i brył skalistych, tylko co mieli je ładować na szalupy; wielki biały niedźwiedź puścił się w pław ku nim, okazuiąc, jakoby ich wyzywał do bitwy z sobą. Żeglarze niezrażeni bynaymniey, wyszli na przeciw niemu odważnie, i rozpoczęli żwawą walkę. Strzelba nie była ieszcze wtedy w używaniu tak, iak iest teraz; zatym walczący z niedźwiedziem, nie mieli z sobą, tylko spisy, siekiery, i tym podobne narzędzia. Ale niedźwiedź tak twárdą i grubą miał skorę, iż większa część spis, albo popękała, albo też powichnęła się. Okrom tego, po kilka razy kusił się niedźwiedź wleść do nich na szalupę, chwytał ią łapami, i tak mocno w przod iey walił, że gdyby aby jeden cios podobny był ugodził we śrzodek, te-

dy by ią nieochybnie do gory dnem przewrocił. Na reszcie opadł z sił; zabili go, i przywioższy do okrętu obdarli ze skory, ktora miała długości stop 13.

3.

Opisanie Spitzbergu. Podróż z niego do Nowey-Zemli.

Spitzberg, jest to kray ieden z nayodludnieyszych i nayzimnieyszych w świecie. Jak go tylko z daleka można dosiąc okiem na morzu, nic na nim nie widać, tylko gory śpiczaste, częścią z lodow i śniegow, częścią z piasku i skał utworzone. Okrom cokolwiek zielska i mchu gdzie niegdzie porastaiących, nie widać na tey wyspie żadney rośliny, ani drzewa, ani krzaku. W lipcu i sierpniu ledwo co dostrzedź można jakiś pozor lata; wszakże i ten krotki przeciąg łagodnieyszey pory roku, przeplatany bywa zimowemi

zmianami. Niebo zawsze prawie iest pochmurne; burzę, rzadko bardzo doświadczane. Pod czas zimy, owa długa noc, ktora, jako się wyżey rzekło, trwa blisko do czterech miesięcy, staie się nie iakim sposobem nie tak przykrą, dla częstych zorz pułnocnych, bardzo jasno świecących. Między niewielą roślinami, tam się krzewiącemi, szczegulniey znayduie się warzęcha ziele i szczaw. Jest to osobliwszy układ opatrzności dobroczynney, iż zasiała rośliny bardzo skuteczne na szkorbut, w tym kraju, w ktorym dla zimna natężonego naysrożey ta choroba trapi żeglarzow.

Wyspa ta, okrom wiele ptastwa wodnego, żywi mnostwo wielkie białych niedźwiedzi, ranifetow, i lisow z futrem białym albo niebieskim, nader kosztownym. Opisaliśmy iuż białe niedźwiedzie, poznaymy teraz ranifety.

Ranifet, jest to zwierz jeden z nay-

użytecznieyszych na ziemi : szkoda! że się chować nie może, tylko w krajach podpułnocnych. Lapończycy maią wszystko z niego: mleko i mięso ranifetow służy im za pokarm, a skorę obracaią, bądź na odzienie, bądź na pokrycie szałasow swoich od wiatru, zimna i słoty. W gospodarstwie maią z ranifeta bydle robocze; a założony do sanek, wiezie iak koń naydzielnieyszy. Z rogow i kości ranifeta, wyrabiaią Lapończycy rożne naczynia; żyły obracaią na dratwę i szpagat do szycia; a pęcherz na kieszenie i burdziuki. Ale co naydziwnieysza! iż ten zwierz, tak użyteczny, iest oraz ze wszystkich naywstrzemięźliwszy w jedzeniu, i naysnadnieyszy do paszenia. Nie trzeba mu inney paszy, nad mech i liście suche; ieszcze i w tym nie zniewala gospodarza, aby mu czynił zapas na zimę: sam sobie oboyga tego wyszuka i z pod naytęższych śniegow wydobędzie. Kiedy głod wezwie go do żyru, odkopuie śnieg

nogami ; a podżuwszy trochę mchu czy liści, jużci syt. I nie wypadaż tu uwielbiać z zadumieniem mądrość i opatrzność Stworcy, iż tak szczupłe granice zakreślił potrzebom i dogodom zwierza tego, ktorego chciał osadzić w stepach lodowatey i nayniepłodnieyszey pułnocy? Náostatek ranifet, podobny iest do naszego jelenia, z tą rożnicą, iż iest trochę mnieyszy, iż ma nogi krotsze, a rogi nieco odmienniey, bo płaskawo ukształcone. Samica ranifeta, ma także rogi, ktorych łanie nasze nie maią.

Co się tycze ludzi, tych zgoła nie masz na Spitzbergu. Ale za to nadbrzeża tey wyspy, morze i lody, zaplenione są zwierzętami nieznajomemi u nas. Oto naprzykład, okrom wielorybow, znayduie się tam wielkie mnostwo cieląt czyli psow morskich, krow morskich, espadonow, rekinow i innych. Poznaymy każde z osobna.

Ciele morskie, ktore też nazywaią psem morskim, pleni się tak jak i wieloryb, szczegulniey w krajach pułnocnych: latem przebywa na lądzie, a zimą w wodzie i po lodach. Łeb ma podobny do psa z oberzniętemi uszami. Pysk i nos porasta mu wąsami, takiemi w podobieństwie, jakie są u naszych kotow. Szerć krotka i połyskuiąca, okrywa resztę ciała. Na przedzie ma dwie łapy bardzo krotkie, ktoremi chodzi albo raczey czołga się: bo dwie zadnie łapy podobnieysze są do dwoch ogonkow czyli płytew rybich. Są one zawrocone ku ogonowi, i służą mu do pływania jak płytwy. Długość jego wynosi od czterech stop do ośmiu. Obfita tłustość zwierza tego, wydaie także oley wieloryby czyli tran. I dla tego kiedy chybi połow wielorybow, tedy rybacy biją wielkie stáda psow morskich; ażeby ich tłuszczem nadgrodzić sobie stratę na tamtych. Bywa też, iż wychodzi wiele statkow z umysłu na łowisko psow morskich. W dniu

pogodnym, kiedy słońce przyświeca, zbieraią się psy morskie w wielkie stada, i rozwaliwszy się po lodach, parskaią głośno. Pod ten czas flisi napadaią na nich z pałkami; a ponieważ nie mogą prędko uciekać, czołgaiąc się na dwoch przednich łapach, zatym łacno jest ich nabić bardzo wiele. Trzeba się starać trafiać je w nos, jako w mieysce i u naszych psow nayczkliwsze. Takowy cios głuszy je, nie zabija; bo zwierz ten jest bardzo żywuszczy. Były przykłady, że po wybraniu prawie wszystkiego tłuszczu ze psa morskiego, zwierz ten, czyli raczey iego chaby, kąsał ieszcze dosyć żjadliwie. Pastwą jego iest Tang, czyli zielsko morskie, i ryby. Na reszcie zwierz ten, dla biednych mieszkańcow krain podpułnocnych, jakiemi są naprzykład Grenlandczycy, iest rzeczą wielkiey wagi; bo służy im za to, co ranifet Lapończykom. Jedzą mięso jego, oświecaią domy lampami z jego tłuszczu, robią odzież, poszycia chat i

czoł-

czołny z jego skory. I u nas także ze skory psow morskich wyrabiaią worki na tabakę dla wieśniakow, i pobijaią nią kufry.

Krowa morska, podobna iest do cielęcia czyli psa morskiego, wyiąwszy iż iest daleko większa i grubsza, rownaiąc się prawie wielkością z wołem. Ma głowę ogromnieyszą; a z obu stron paszczęki, styrczą iey dwa kły, długie na łokieć i więcey: kły te, dla przecudney ich białości, szacownieysze są od zębow słoniowych. Krowy morskie stadami wielkiemi rozwalaią się po lodach i w wodzie; i tak, jak psy morskie, głośno parskaią. Kiedy ich napadną rybacy, bronią się bardzo żwawo; wiernie jedno drugie ratuje; z wielkim rykiem, na kształt bykow, rzucaią się na szalupę, chcąc ią kłami uchwycić, i do gory dnem wywrocić. Skoro nadto liczne iest stado, iż rybacy ustępować muszą przed nim; na ten czas

gonią statki z taką zapalczywością, iż jedno drugie ubiega, i czasem biią się między sobą o wyścigi. Dla samych tylko zębow zabiiaią krowy morskie rybacy; bo tłustości nie maią, á mięso nie zda się do jedzenia.

Espadon czyli ostropysk, iest także znaczna ryba morza lodowátego. Kiedy do zupełnego wzrostu doydzie, wtedy trzyma od 18 do 20 stop długości, i waży około dwoch cetnarow. Kość bardzo długa i szeroka, styrczy mu u szczęki gorney. Płaskawą ma postać na wzor głowni od pałasza, z tym dodatkiem, iż iest zębaty, nakształt piły; i ztąd też tę rybę nazywaią piłą morską. Espadon iest zabitym nieprzyiacielem wieloryba, ściga go i rznie piłą swoią obosieczną, aż poki nie zamorduie. Na ten czas, mowią, iż pożera język wieloryba, a resztę rzuca. Rybacy postrzegłszy utarczkę wieloryba z espadonem, nie wdaią się do niey.

przypatruią się jey tylko spokoynie; bo są pewni, że zwycięstwo przyniesie im korzyść bez pracy. Czasem też espadon, nie daie człowiekowi brać zabitego swego nieprzyiaciela, i ten gmach tak ogromny, ciągnie do pewney odległości; chociaż szalupy pełne flisow, usiłuią zawracać wieloryba w stronę przeciwną.

Co się tycze rekina, ktory także i po innych morzach znayduie się, jużem dał jego opis w dziele:Odkrycie Ameryki; tam odsyłam; a wracam się do naszych wędrownikow. Płynęli oni przez kilka dni wzdłuż brzegow Szpitzbergu, zawijaiąc coraz do lądu, i nabieraiąc ziemię w szalupy; wszakże nie napadszy nic takiego, coby warte było zastanowienia, przedsięwzięli pędzić daley, aby tylko, ile możności, dopiąć ważnego zamiaru swey wyprawy.

Tu wypadła im zagadka: gdzie bieg

swoy nakierować? i w tey mierze znalazły się rozdwoione zdania obu szyprow. Kornel utrzymywał, iż trzeba pędzić daley ku pułnocy, maiąc nadzieię, że wpłynie na morze bez lodow. Barenz myślił przeciwnie: to jest iż dosyć już podjachali pod pułnoc, zatym że należało zacząć zwolna zakręcać się ku południowi. Długi trwał spor między niemi. Nakoniec gdy niemogli na jedno zgodzić się, przystali na to, iż każdy przy swym zdaniu zostanie, i tey drogi, jaką osądzi bydź naylepszą, trzymać się będzie. To ułożywszy, rozstrychnęły się oba okręty. Korneil popłynął daley na pułnoc; a Barenz zkręcił się ku południowi; wszakże obydwa mieli potym nawrocić ku wschodowi. Zostawmy pierwszego na moment, a idźmy śladem za drugim: przy końcu napomknie się o losie pierwszego.

Rozjazd dwoch okrętow zaszedł dnia

1 lipca, tego samego też dnia dał się widzieć kray, ktory potym uznano bydź Nową-Zemlą.

4.

Bawienie na brzegach Nowey-Zemli. Okręt podpada nieszczęściu.

Ten był naypierwszy zamysł Barenza, ażeby objachać cypel pułnocny zjawionego lądu, i obrocić się potym na wschod, gdyby szczęście posłużyło. W tym celu płynął wciąż mimo brzegu. Wszakże, lubo to było prawie w samym śrzodku latá, wszelako z ciężkością przychodziło daley podjeżdżać, dla niezmiernych brył lodow, wstrzymuiących okręt w biegu. Szczegulniey to przypadło pod wysepką, leżącą przy brzegu zachodnim Nowey-Zemli, ktorą zowią wyspą krzyżow. Nazwisko to, wzięła od dwoch krzyżow, ktore postawili rybacy, przybywaiący często na połow wielorybow w owe strony.

Zarzuciwszy kotwice w tym mieyscu kapitan Heemskerk, wsiadł w szalupę z kilką flisami, chcąc zwiedzić brzeg, na ktorym stały krzyże. Usiedli dla spoczynku pod jednym krzyżem; a gdy się wpatruią w drugi, postrzegaią z nienacka dwa białe niedźwiedzie, leżące pod nim. Niezmiernym strachem zostali wszyscy ogarnieni na ten widok, zwłaszcza iż niemieli broni przy sobie. Niedźwiedzie powstaią na żadnie łapy, przepatruiąc pilnie tę zdobycz, ktorą iuż były pierwey zdala zwietrzyły. Zoczywszy ludzi, rzucaią się prosto ku nim. Tu już trudno wyrazić jak straszliwy przepłoch opanował wszystkich, tak dalece, iż flisi zaczęli co żywo do szalupy uciekać. Ale ich kommendant, maiący więcey odwagi, a zatym i przytomności umysłu, wstrzymał uchodzących, poprzysięgaiąc, że ktory tylko pierwszy do ucieczki posunie się, w tym swoy dziryt utopi. „ Skoro się „ rozpierzchniemy, rzekł do nich, za-

„ pewne ktoregokolwiek z nas uchwycą
„ niedźwiedzie: ale gdy się w kupie
„ trzymać będziemy, i krzykać jedno-
„ staynym hukiem; zrażą się niedźwie-
„ dzie, i nie będą śmiały na nas nacie-
„ rać. „ Usłuchali go, i stało się jak zapowiedział. W dobrym porządku cofając się wspolnie, doszli szczęśliwie do szalupy. Tu nauka: jak to dobrze mieć serce odważne, i że bojaźń w większe daleko wprawia niebespieczeństwo, aniżeli śmiałe stawienie się na przeciw zamachowi nieszczęśliwego losu.

Płynęli daley mimo brzegu, rznąc się nieustannie przez niezmierne nawały lodow. Za każdym razem kiedy ich kra zewsząd ścisnęła, wiązali okręt do iakiey łachy lodu, siedząc w mieyscu poty, poki by wiatr skołatawszy krę nie otworzył nowego przeyścia: wtedy znowu płynęli, a potym znowu stali. Żeby sobie wystawić wielkość lodow tamecznych, dość po-

wiedzieć, że gdy zmierzyli jednę krę, ta trzymała 52 sążnie grubości. Bo w wodzie miała sążni 36, a nad wodą sązni 16. Wszelako nie była to jeszcze kra jedna z naywiększych. Powiadáią, iż tak wielkie zdarzaią się bryły lodow, że ich grubość, wyniesiona nad wodą, do 100 sążni dochodzi. Sto sążni! proszę zważyć, co to za wysokość! zapewne większa, niżli wieży naywyższey.

Gdy razu jednego okręt zaparty lodami, stał w mieyscu, szyper przechodząc się wieczorem pod czas mgły po pokładzie okrętu, posłyszał z nienacka obok siebie gwałtowne czmuchanie. A gdy pilnie przepatruie, co by to znaczyło? widzi niedźwiedzia, ktory wszelkiemi siłami chce się wdrapać na okręt. „ Hey! dzieci! sam tu do mnie! „ zawołał na flisow. Gdy natychmiast wszyscy zbiegli się, i przeraźliwym wrzaskiem okrzyknęli niedźwiedzia, tak się przeląkł, iż odskoczył

od okrętu, i skrył się za zator. Nie długo znowu powrocił; lecz gdy dostrzegł iż się maią na baczności, i czterech ludzi stoiąc pogotowiu ze strzelbą, wypaliło kilka razy do niego, przymuszony do odwrotu, zapadł we mgle i śniegach, ani więcey nie ważył się przychodzić.

Dnia 10 Sierpnia skruszyły się lody, i zaczęły pływać sztukami. Ten tylko lod, przy ktorym zahaczony był okręt na kotwicy, stał nieporuszony, chociaż wielkie bryły lodow waliły się na niego. To dało zrozumieć, że lod przymarzł do dna morskiego.

Od tego momentu lody, to przymarzały, to się odrywały na przemianę od lądu; a biedni żeglarze, wpułzmrożeni, musieli nieustannie pracować, aby się przerzynać przez kry, jak prędko ruszać się zaczęły. W ciągu tey roboty, zostáwali w ustawicznym niebespieczeństwie,

ażeby gory lodow nadpływaiące, nie pogruchotały okrętu: jakoż trzeba było bardzo ostrożnie i zręcznie postępować sobie w kierowaniu i prostowaniu okrętu, żeby uchronić się tego nieszczęścia. Przytym niedźwiedzie napastowały ich nieustannie, z ktoremi tyle było do czynienia, co i z lodami. Nie raz do zawziętey przyszło potyczki; ależ przecie wygrana zostawała zawsze przy ludziach.

Przez takie to trudy niezmierne dopłynęli przecież do cypla pułnocnego Nowey-Zemli, i zaczęli go objeżdzać. Kilku maytkom wyprawionym do lądu, gdy wlezli na gorę śpiczastą, zdało się jakoby morze ku wschodowi było bez lodow. Niewymowna radość napełniła serca tych biednych ludzi! pobiegli do okrętu co prędzey z doniesieniem tak pożądaney nowiny, ktorą wszyscy przyięli w nayradośnieyszych okrzykach. „Hamuycie we-„sołość waszę, dobrzy ludzie! nadzieje

„ ludzkie bywaią często zawodne: kto „ wie! jeżeli te podchlebne wrożby wasze „ nie zpełzną na niczym! „ Niestety! ták się stało nazajutrz! Bo gdy ku owey stronie zaczęli się podmykać, gdzie wczora zdało im się widzieć czyste morze bez kry; tam przeciwnie znaleźli je zamarzłe tak długiemi łachami, iż radzi nie radzi, musieli zawrocić się nazad ku nadbrzeżu Nowey-Zemli. Kusili się wprawdzie po kilkakroć płynąć daley; ale zawsze nadaremnie. Tu dopiero odstąpili zupełnie zamiaru swey podroży, to iest wynalezienia przeprawy przez morze pułnocne i wschodnie do Chin; a cała myśl ich natężyła się, ażeby opuszczaiąc się wdoł przy brzegu wschodnim Nowey-Zemli, dostać się iakim sposobem do lądu Azyi. W tym celu zaczęli zkręcać bieg swoy na południe, skoro lody pozwalały im płynąć. Wszakże gdy znaczny przeciąg upłynęli, wielkie bryły lodow osaczyły i ścisnęły okręt zewsząd, tak, iż tylko wyglądali co

moment ztarcia jego na druzgi. Raz podniosła kra przod okrętu; drugi raz tył; znowu go ustawiła w rownowadze, ale tak tęgo i ścisło, iż stał jak wryty.

Dnia 29 Sierpnia, widząc okręt w stanie tak okropnym, pokusili się lodowate zatory rozbijać i kruszyć oskardami żelaznemi; ale czy podobna to dokazać z tak niezmierną grubizną! Dnia 30 ruszyły lody i pływać zaczęły: wiatr mroźny i przeraźliwy z sadzią i śniegiem napędził tak wielką moc kry na okręt, iż niezmierne usadziwszy zatory, gniotła okręt, a ten po wszystkich stronach trzeszczał, i tylko wyglądano rychło skruszy się w kawałki. A że od tey strony, z ktorey wiatr wiał, był bardziey przygnieciony okręt; zaczym zaczął się przeważać, i słusznie lękano się, ażeby się nie przewrocił. Ależ przecie, gdy i na drugą stronę wepchały się kry, sprostował się okręt, lecz za to wzniosł się tak wysoko

na zatorze, jak gdyby windami był podniesiony i ustawiony. Jeszcze kra zwaliła się na sztabę czyli przod okrętu, i wzniosła go do piąciu stop wyżey nad rufę czyli tył. Nakoniec natarły kry i na tył, gdzie był rudel, i ten zgruchotały. Wiatr dął potężny: nie słychać było, tylko grzegotanie lin obmarzłych, trzask okrętu gniecionego zewsząd, i huk morskich bałwanow z przeraźliwym łoskotem gor lodowatych, uderzaiących jedna o drugą, i rozbijaiących się wzaiemnie...

Czytelniku! ty, ktorego drobna niedogoda w pożyciu, obrusza, jątrzy, i do zapalczywości przywodzi, rzuć okiem na tę scenę. Wystaw sobie tych biednych żeglarzy; ktorzy zkościeli od zimna, i poglądaiąc na pasmo wielorakich nieszczęśliwości, snuiące się im przed oczyma; wszelako nie zrażaią się bynaymniey, pracuią nieprzerwanie, i biorą się na wszelkie sposoby, jakie tylko mysl im

podaje do ocalenia okrętu i zabespieczenia własnego. Zapłoń się wstydem nad twoią pieskliwością; a zahartowany męstwem i tęgością umysłu, staway pogotowiu na wszelkie nieprzyjaźnych losow pociski; ażebyś, gdy cię przeciwność lub niebespieczeństwo zaskoczy, co nieuchronnie i często w życiu ludzkim zdarza się, nie opuszczał rąk, nie tracił serca i głowy, nierozpaczał; ale wszelkich śrzodkow do ratunku i wybrnienia z złey toni chwytał się.

Już tedy nasi wędrownicy, przewidując nieochybne zdruzgotanie okrętu, wyciągnęli na lod szalupę i czołn, aby te przynaymniey ocalić. W tak opłakanym stanie zostawali do dnia 2 września; w ktorym zwalona kra, wysadziwszy okręt ieszcze wyżey na zatorze, zgniotła go, iż z straszliwym łoskotem rozpadł się w wielu mieyscach. To widząc, zaraz zaniechali myśl daremną o okręcie, a rzucili

się do ładunku: wylichtowali 13 beczek sucharow i dwie baryłki wina na czołn, aby je sprowadzić na ląd. Dnia 3 września, zbił się zator ieszcze tężey. Wielka belka rufy, przy ktorey osadzony był rudel, oderwała się. Kordel, czyli lina kotwicy naywiększey i drugi kordel nowy, na ktorey okręt był ucumowany do lodu, zerwały się gdyby nitki. Tym czasem zwrąb sam okrętu wytrzymał ieszcze tłok lodow, co wszystkim do podziwienia było. Dnia 5, kra zwaliła okręt na bok, ale to mu nieszkodziło; wszakże nie można było mieć nadziei, aby te wszystkie skołatania długo wytrzymał. I dla tego wzięli się wszyscy do wynoszenia rzeczy naypotrzebnieyszych, jako to prochu, kul, strzelby, sucharow, wina i t. d. oraz wielu narzędzi, i starego żagla; co wszystko złożyli na lądzie. Z starego żagla zrobili szałas dla pokrycia rzeczy zniesionych.

Kilku flisow puściwszy się na dwie

mile w głąb kraju, powrocili z wesołą nowiną, iż znaleźli w rzece wodę słodką, i wiele drzewa osiąkłego na jey brzegach. Pod tym imieniem trzeba rozumieć drzewa, ktore morze i wiatry zarwawszy z brzegow lądu wielkiego, zapędzaią w dzikie krainy lodowatego morzá, gdzie żadne drzewo nie rośnie: co wszystko wskazuie przezorny układ opatrzności wszechmocney. Ta nowina uczyniła im otuchę, iż w tak zimnym i pustym kraju potrafią przepędzić zimę długą i okropną; zaczym przedsięwzięli wystawić budę, ktora by, ile możności ochroniła ich od zimna i napaści dzikich zwierząt. Ale mrozy tęgie, wichry gwałtowne, i obfite śniegi, zatrudniały ich roboty, tak dalece, że przez cztery tygodnie ledwo potrafili budę dokończyć. W tym przeciągu czasu zdarzyły się im przypadki, warte doniesienia.

Dnia 15 lis, trzymaiący straż na

okrę-

okręcie, postrzegł nadchodzących trzech niedźwiedzi. Uderzył na trwogę, i wszystka czeladź zkupiła się do obrony. Opodal od okrętu, odbita była fasa z mięsem solonym. Jeden niedźwiedź zwietrzywszy mięso, przychodzi do fasy, i gdy iuż zabiera się je chapnąć, ugodzony kulą z okrętu, polega na mieyscu. Drugi niedźwiedź stawa nad nim iak wryty, przerażony i niejako zadziwiony tym zdarzeniem: wpatruie się pilnie w swego towarzysza, tryksa, przewraca go na ziemi, nareszcie zakręciwszy się odchodzi wolnym krokiem. Trzeci niedźwiedź zaczaił się za krę lodu; a nie mogąc strawić tego, co drugich spotkało, wychodzi wspięty na zadnich łapach, jaka postawa iest im zwyczayna, kiedy uderzaią na kogo. W tey groźney postawie idzie ku flisom; ale ci dostrzegłszy go wcześnie, przywitali kulą w bok, tak dobrze, iż rad nie rad zaniechał swegó przedsięwzięcia; a odchodząc z przera-

źliwym mamrzeniem dał poznać, iż go niezgorzey załechtała kula po boku. Z zabitego niedźwiedzia wydobywszy wnętrzności, ustawiono go na łapach, chcąc doświadczyć, czyli wiatr i zimno nie zrobią z niego mumii, i czy by się nie udało zawieść go do Hollandyi, ieśliby szczęście posłużyło wydobyć się kiedyżkolwiek z tey toni.

Mrozy natężały się codzień bárdziey, tak dalece, iż niemożna było ogrzewać się w źwierzchnim piętrze okrętu, gdzie była kuchnia; musieli więc założyć ognisko w spodzie okretu, gdzie się ładuią towary. Ale coż potym, kiedy cały okręt napełniony był tak grubym dymem, iż przychodziło prawie dusić się. Dnia 23 umarł pierwszy cieśla, i sprawiono mu pogrzeb w jamie zatoru, ponieważ zmrożoney ziemi nie podobna było ukopać. Cała tedy wędrownikow gromada zamykała osob 16, z ktorych zawsze ktoś chorował.

Przy końcu września, zimna tak tęgie nie raz przypadły, iż musieli przerwać robotę około budy; bo ludziom przemarzały członki, a z pod śniegu nie można było wydobyć drzewa do budowy. Wszelako nie tracąc czasu nadaremnie, wydzierano z okrętu dylowania z przegrodami, w ktorych sypiali flisi, dla wybicia niemi budy i pokrycia jey dachem. To zabrało dni 15; w przeciągu ktorych wzmogły sie mrozy tak tęgie, iż naywytrzymalszy flis nie poważył się wyiść o 30 krokow bez niebespieczeństwa zmarznięcia. Tym czasem okręt zostawał w jednymże stanie rozbicia; widok dzienny skracał się co raz, ciąg nocney pomroki rozwodził sie dłużey, a niedola biednych żeglarzy pędziła chyższym polotem do ostatniego kresu nieszczęścia.

5.

Przepędzenie zimy na Nowey-Zemli. Osobliwe zjawienie.

Dnia 12 paździérnika, połowa żeglarzow przeniosła się na ląd do budy, ktora iuż prawie była dokończona. Wszakże nie mieli ieszcze na czym się położyć, ani mogli niecić ogień, bo nie było komina. Wystaw sobie, miły czytelniku! co ci biedni ludzie pod ten czas ćierpić musieli! a wszelako tak okropną niedolę wytrzymali z rowną cierpliwością i statkiem. Jak mogli, tak wymyślali sobie ulgę, przyczyniaiąc co raz więcey wygod w nowo postawioney budzie, i wynosząc z okrętu rozmaite rzeczy, na cożkolwiek przydatne.

Między zapasami, na ktorych ocáleniu zależało im bardzo wiele, było kilka beczek piwa. Z tych nie mieli pociechy; bo gdy je przeprowadzali z okrętu do budy, zamarzło piwo, tak dalece, iż obręcze żelazne na beczkach lod porozsadzał. Wnosić proszę, jak tam tęgie było zimno. Zachowali jak nayskrzętniey i to piwo

zamrożone, chociaż doświadczyli, że gdy się rozmroziło przy ogniu, nic zgoła nie miało, ani pierwszego smaku, ani tęgości.

Dnia 24 października reszta żeglarzy, w liczbie osob ośmiu, przeniosła się z okrętu do budy. Jednego ciężko zchorzałego zaciągnęli na saniach, bo nie mogł iść o swey mocy. „ Niech cię Bog zasila „ biedny człowiecze! w tey lichey budzie „ nie spodziewáy się znaleść potrzebnych „ ci wygod. Nie iest to owa izba przy- „ zwoitym ciepłem ogrzana, zamożna we „ wszystko, czego tylko chory zażąda: „ nie iest to ta izba, w jakowych my „ tak niecierpliwie i wybrednie odbywa- „ my przypadłe na nas choroby! „ Z niewymownym także mozołem zaciągnęli pod budę szalupę, jako jedyną nadzieię wydobycia swego z tey toni, ieśliby udało się zimę tak długą i tak straszną wytrzymać. Bo o ocaleniu okrętu ani podo-

bieństwa było myśleć, ktory straszliwym zatorem ze wszech stron przytłoczony został.

Jeszcze dotąd światło słoneczne przyiemnemi promieniami swemi, choć na kilka dni chwilek uweselało biednych, ale i ta jedyna nieszczęśliwych pociecha zniknąć miała niezadługo: co dzień, to bardziey zmnieyszał się łęk biegu słonecznego: już nawet nie wznosił się wyżey nad horyzont, iak o jednę piędź; krzątali się więc co żywo z przeniesieniem reszty żywności, żaglow i lin do budy. Ostatnią razą kiedy szli do okrętu, postrzegł Heemskerk trzech niedźwiedzi, biegących prosto na flisow: okrzyknął ich przeraźliwym głosem dla przestrachu. Flisi porzuciwszy sielki, ktoremi sanki ciągneli, zaczęli do okrętu uciekać. Ale Heemskerk i drugi z nim, oba serca mężnego, uchwycili z sanek dwa oszczepy, i zawrociwszy inną stroną gdzie nie było

niedźwiedzi, szczęśliwie wpadli na okręt. Zażarte niedźwiedzie, widząc iż im zdobycz uszła, rzuciły się prosto do okrętu, chcąc się wdrapać na niego. Na okręcie znaydowało się dosyć strzelby; ale strzelba nie była ieszcze wtedy taka, iaka iest teraz. Ogień nie zaymował prochu w zapale szczękiem skałki o panewkę, ale trzeba było tleiący lont do panewki przytykać. Na nieszczęście! nie było podorędziu ognia do podpału strzelby; dwa oszczepy, składały cały arsenał z bronią cale niedostateczną do odparcia niedźwiedzi. Wyprawiono flisa co tchu do kuchni okrętowey po ogień, a drugiemu kazano szukać spis. Ale ogień nie dał się wzniecić, a spisy właśnie gdyby się pokryły, trudno było je wynaleść. Tym czasem zażarte niedźwiedzie używały wszelkich sposobow, ażeby wdrapać się na okręt, i pewnie dokazałyby tego; gdyby nie przyszło na myśl flisom rzucać im sztuki drzewa i rożne rzeczy, iakie

tylko nawinęły się pod rękę: za każdym rzutem uganiały się niedźwiedzie, tak iak psy, ktorym co rzucaią do podawania. Na reszcie naywiększy niedźwiedź ugodzony silno oszczepem w sam ryi, wziął się do odwrotu; dwa niedźwiedzie mnieysze za nim; a tak dopiero flisi wrocili się do swych sani i budy.

W kilka dni ubili białego lisa, ktorego upiekli. Miał smak podobny do krolika.

Dnia 4 listopada, już cale słońce nie weszło, i to był początek owey długiey nocy, o ktorey przebyciu zaledwo można było czynić sobie nadzieię. Wszakże dobroczynna opatrzność, jako do każdey czary gorzkości, ktorą podaie człowiekowi biednemu, wpuszcza kilka kropel słodyczy; tak i w ninieyszey wędrownikow naszych niedoli, na nadgrodę utraty słonecznego światła, obmyśliła sposoby jczy-

niące nieiaką poświatę w grubych cieniach nocney pomroki. Od tego bowiem dnia, ktorego słońce z tamecznego horyzontu znikło, ustąpiły precz z onych stron niedźwiedzie, pewno na zimowanie w krajach bardziey wysunionych ku południowi. Powtore, xiężyc wszedł na horyzont, nieustannie świecąc bez zachodu, tak jak pierwey słońce. Potrzecie, żywe zorze pułnocne oświecały niebo tak jasno, iż widok był podobny prawie do dnia mglistego. Wszystko to cieszyło iako tako biednych żeglarzow, i nieiakim sposobem nadgradzało im utratę światła dziennego.

Z tym wszystkim w takim położeniu mieli trudność rozeznać czas zwyczayny dzienny od czasu zwyczaynego nocy, zwłaszcza kiedy niebo pochmurne zasłoniło xiężyc i gwiazdy. Radziby byli mieć przy sobie zegar ścienny z okrętu; ale mroz tęgi nie dał im się ani na krok z

budy wyruszyć. Na szczęście! zábrali byli z sobą klepsydrę, sypiącą się przez 12 godzin wciąż bez odwrotu. Owoż doglądali pilnie odwracać ją porządnie, ażeby nie zamylić prawdziwey pory czasu. Nad to sporządzili sobie lampę, ktorą w niedostatku oleju, nalewali przetopionym łojem niedźwiedzim.

Dnia 6 Listopada mroz uderzył tak wielki, iż nie można było rozgrzać się. Naytęższy ogień naniecony w budzie, nie potrafił zachować wina Hiszpańskiego, ktore mieli z sobą, od zupełnego zamarznięcia: co, iak wiadomo, bardzo trudno przypadać zwykło, dla wrodzoney tego wina tęgości i ognia. Zdawało się, iż mroz odjął ogniowi moc grzania; bo chociaż rzecz iaka przymknięta była dosyć blisko do ognia, przecież niemniey zostawała zimna. I tak nasi wędrownicy, trzymaiąc nogi tuż przy ogniu, nie poczuwali ciepła, aż dopiero kiedy im się

spaliły pończochy: i tego ieszcze niedostrzegliby, gdyby swąd zgorzelizny poczuć nie dał. Wszyscy niebożęta pokładli się do koła ogniska, w milczeniu pełnym rospaczy, poglądaiąc coraz z żalem i politowaniem jeden na drugiego; bo trzeba było lękać się, ażeby mrozy natężone bardziey, nie pomroziły wszystkich. Następuiącego dnia, gdy mroz trzymał rownie tęgo, postanowili iść do okrętu po torf, czyli ziemię tłustą i palną, tak jak drzewo; bo grzeje bardziey niżli drewno, a nie tak prędko się pali. Uskutecznili to, acz z niewymownym mozołem, i w wieczor naniecili ogień z torfu wielki, iż prawdziwie buda nagrzała się dosyć dobrze. Takowe ciepło przyniosło im tyle ukontentowania, iż starali się wszelkiemi sposobami pomnażać je i utrzymywać. Idąc więc spać, zatkali komin; a przed snem rozprawiali sobie w nayws iększey wesołości. Ale ta wesołość zniknęła w krotce, a jaki taki,

poczuł w sobie nagłą odmianę. Zawrot głowy i odurzenie zmysłow ogarnęło wszystkich, tak dalece, iż nie mogli się nawet ani ratować, bo nie mogli ruszyć się na posłaniu. Na szczęście! dway flisi znaleźli w sobie tyle siły, iż się wgrabolili, jeden do drzwi, drugi do komina, i na czas ieszcze otworzyli oboie. Ten, ktory drzwi otworzył, omdlały padł na ziemię twarzą do śniegu. Na dobre mu to wyszło, bo śnieg zimny, powietrze świeże, i trocha octu, ktorym go skropiono, przywrociły mu zmysły: a powietrze świeże i zimne, wpuszczone do budy, ocaliło wszystkich życie.

Łacno domyślić się przyczyny tego przpadku, iż to było zagorzenie ze swądu ktory torf wydaie. Nie inaczey; bardzo wielu przypłaca życiem tę nieostrożność. Życzę moim czytelnikom, zwłaszcza młodym, korzystać z tego przykładu. Trzeba się strzedz wszelkich waporow czyli

parow iakichkolwiek, a osobliwie z wągli, zgęstwionych i zastałych w iednym mieyscu. Powietrze zatęchłe i zagniłe długim niewietrzeniem izby, swąd gliny z piecow nowo stawionych, świeżo podlepianych, albo nadto przepalonych, także dym czyli para z węgli surowych, wszystko to są trucizny, zrządzaiące ciężkie choroby, a nawet i nagłą śmierć.

Od tego mieysca skracam opis wielu dni, w ktorych nasi wędrownicy doznawali iednychże nieszczęśliwości i utrapień: nie będę przytaczać, tylko same szczegulnieysze zdarzenia. W tym rzędzie niechay będzie naypierwey szczupły podział strawy, ktory z pozostałego zapasu żywności oznaczyli w pewney mierze na osobę. Wykopawszy wołkownią, czyli doł na wilki, nachwytali wiele pięknych białych lisow, ktorych mięso iedli, a futra obracali na czapki i inne ubiory. Cyrulik okrętowy sporządził wannę z wielkiey

fasy, gdzie im się często kąpać kazał: kąpiel służyła bardzo dobrze chorym, a utrzymywała czerstwość zdrowych. Nie raz budę ich zawaliły tak śniegi, iż z trudnością przebili wolny oddech do świeżego powietrza. Czasem chociaż w napaloney dobrze budzie pomarzły im obuwia na nogach i ztężały iak rog, iż niepodobna było chodzić. Z tego powodu porobili sobie berlacie z futer, i wdziawszy je na trzy lub cztery pary pończoch, utrzymali w nogach cokolwiek ciepła. Żeby w posłaniu nie zmarznąć, rozgrzewali kamienie, i podawali je sobie koleią.

W takim stanie zakończyli rok 1596, a zaczęli rok 1597. Żywności ubywało coraz znaczniey, i musieli przystąpić do nowego zmnieyszenia dzienney miarki, chociaż zimno natężone zaostrzało tym więcey chęć do jedzenia. Mimo tego wszystkiego nieupadali niebożęta na sercu: nawyknienie iuż ich było oswoiło z

biedą; a nadzieja, iż aboś wydobędą się z tey niedoli, skoro zima minie, zażywiała ich nowemi siłami do cierpliwego znoszenia srogiey nędzy.

Dnia 6 stycznia w wieczor przypomnieli sobie, iż to iest święto trzech krolow. Przez cały dzień napracowali się niezmiernie, toruiąc drogę przez śniegi, szukaiąc drew i rąbiąc je na opał; radziby więc byli po takim utrudzeniu nadzwyczayną wyprawić sobie poczostkę i krotofilę. Kapitan przychylił się ile możności do ich życzenia, i wydał im nad zwyczayną miarę więcey dwa funty mąki z trochą smalcu na zrobienie farmuszki. Ach! jakież to było ich szczęście!... „
„ O! wy! ktorym dziesięcią! dwudzie-
„ stą! i więcey wytwornemi potrawami
„ trzeba stoły zastawiać, ażeby skażony
„ zbytkami smak wasz podraźnić do je-
„ dzenia i nasycić! podźcie tu, a przy-
„ patrzcie się, walney i wesołey uczcie,

„ wyprawioney z dwoch funtow mąki i
„ trochy smalcu!... poznaycie, jak to
„ mało trzeba człowiekowi, żeby się roz-
„ ochocił i nasycił!... a drżyicie, obey-
„ rzawszy się na was, i biorąc miarę, iak
„ daleko zboczyliście z owey prostey i
„ świętey drogi, ktorą dobroczynna za-
„ kreśliła natura, a ktora sama iedna
„ do prawdziwey szczęśliwości prowadzi!
„ O! zapewne wstrzemięźliwi nasi że-
„ glarze, szczęśliwsi byli tego wieczora,
„ niżeli wy pospolicie bywacie pośrzod
„ naykosztownieyszych waszych w mięso-
„ pusty bankietow!... Przebog! jedna
„ farmuszka! przygęstsza polewka z mą-
„ ki, bez jay i masła, krzepi, nasyca, u-
„ wesela zpracowanych, zagłodniałych, i
„ w ostatnie nieszczęście pogrążonych
„ ludzi! o! jak to mało człowiekowi po-
„ trzeba, ażeby był szczęśliwym!... Tak
daleko unieśli się swą wesołością iż przy-
stąpili do obierania krola między sobą,
iakowy obchod iest zwyczayny dnia tego.

Padł

Padł los na pierwszego kanoniera; wykrzyknęli go więc krolem Nowey-Zemli, to iest kraju, ktory zamyka blisko 400 mil obwodu.

Powoli dostrzeżono, że dzień i noc, ktore dotąd zdawały się bydź jakoby w iedno zmieszane, zaczynały się nieiako oddzielać i powoli rozrożniać. Ukazała się też czerwoność na powietrzu, czyli zorza, w nayprzyiemnieyszym widoku zwiastuiąca wschod słońca. Już też i mrozy nie koniecznie tak natężone były iak przedtym; bo gdy naniecili wielki ogień w budzie, tedy znaczne sztuki lodu opadały od ścian, i topniały między dwiema posłaniami, czego dotąd nie doświadczono, acz przy ogniu naywiększym. Zaczęli więc codziennie wychodzić na dwor z budy; ćwiczyć się w chodzeniu, w bieganiu, i w ciskaniu kamieni, ażeby członki ztrętwiałe od zimna, rozruszać.

Dnia 24 stycznia, kiedy było niebo pogodne i dosyć wyjaśnione, kapitan Heemskerk udał się ku brzegowi morskiemu, z dwiema towarzyszami, chcąc obaczyć, co się dzieje z lodami. W tym jeden z nich zoczył część kręgu słonecznego, wybiegłą nad horyzont. Trudno wyrazić! jaką radością takowe zjawienie napełniło biednych! Pobiegli co tchu do budy z doniesieniem towarzyszom o tak pożądaney nowinie. Dziwnie wszyscy ucieszyli się: sam jeden Barenz, iako biegły w sztuce gwiazdarskiey, kręcił głową, i nie dawał wiary temu zjawieniu; ponieważ według iego rachunku, dopiero za 15 dni powinno było słońce ukazać się. Coż się stało? oto znowu we trzy dni, kiedy niebo było wypogodzone, uyrzeli wszyscy z niewymowną radością słońce w całym swoim okręgu i blasku, wybiegłe nad horyzont, i po lodach owey krainy rozsypuiące swe promienie. Co za widok przyiemny! serce drgało im od radości! Barenz

znowu zadziwił się, wziął się do rachunkow, i wypadło mu z nich, iż słońce nie powinno ieszcze dać się widzieć. Przekonywał swych kolegow o niechybnośći rachunku; przyznawali z zadumieniem jego gruntowność wywodom: prawidła gwiazdarskie wołaią, niemasz słońca, a czy ukazuią słońce: czemu tu wierzyć, czy oczom? czy rozumowi? krotko mowiąc, Barenz opisał dokładnie w swym dzienniku takowe zjawienie, myśląc za powrotem do Hollandyi żądać jego wykładu u biegłych w sztuce gwiazdarskiey. Że to nie jest żadne dziwo, ani rzecz odrębna od przyrodzonego biegu, widzieć słońce nad horyzontem, kiedy rzeczywiście pod horyzontem zostaie? kto ciekawy, może doyść następuiącym doświadczeniem. Wziąść kubek od filiżanki, wpuścić w niego jaki pieniądz, i stanąć tak, żeby sam prawie śrzodek kubka wewnątrz można było okiem dosięgać, ale nie dno kubka, ani pieniądz leżący na dnie. Tym czasem

nie ruszywszy się z mieysca, kazać nalać wody do kubka; rzecz osobliwa! oto ukaże się dno kubka, i pieniądz na dnie, czego pierwey widać nie było. A to jakim sposobem dzieje się? Ci, ktorzy uczyli się fizyki, znaią: dla drugich, powiem po prostu i ogulnie: iż to całe zjawienie pochodzi z przegubu promieni słonecznych. Trzeba wiedzieć, że za każdym razem kiedy promień słoneczny przebiegaiąc przez płyn iaki (fluidum), wpada z płynu rzadszego do gęstszego, na przykład z powietrza do wody; na ten czas przegubia się, czyli przegina w mieyscu wpadnienia, a ostatni punkt swoy zwraca w inną strone od pierwiastkowego swego wylotu. To gdy się dzieje, wypada, iż rzeczy oświecone takim promieniem, ukazuią sie cale w innym mieyscu od tego, gdzie prawdziwie wtedy zostaią. Tak naprzykład pieniądz daje się widzieć pośrzod kubka, chociaż on w samey rzeczy leży na dnie kubka. Do te-

go przydać tylko należy, iż powietrze dotykaiące ziemię, iest gęścieysze od powietrza, wysoko wzniesionego nad ziemią; a zatym promienie słoneczne, wpadaiąc z wyższego powietrza, ktore iest cienkie, do dolnego, ktore iest gęste, koniecznie podpadać muszą przegubowi, przegięciu, czyli refrakcyi. I ztąd to, czy słońce wschodzi, czy zachodzi, zawsze my je widziemy w niewłaściwym mu mieyscu. Naprzykład: kiedy weydzie słońce oczom naszym, nie iest to słońce samo, ale obraz tylko słońca na atmosferze; tak jak obraz pieniążka widać w śrzodku kubka, chociaż pieniądz nie iest w śrzodku kubka lecz na dnie. Podobnież kiedy słońce zachodzi: ieszcze my patrzemy na słońce, to iest na obraz słońca, a samo słońce już pod horyzont zapadło. Owoż ten iest wykład, przez ktory wędrownicy nasi uyrzeli na Nowey-Zemli wschod słońca, kilkunastą dniami prędzey, niżeli według biegu przyrodzonego, i

obrachunkow Barenza, rzeczywiście weszło.

6.

Dalsze bawienie w Nowey-Zemli. Przygotowania do odjazdu.

Niemasz roży bez kolcow! niemasz pociechy bez smutku! rzeczywistość tey prawdy ztwierdza całe pasmo życia ludzkiego: doświadczyli tego i nasi wędrownicy na Nowey-Zemli. Bo w tym czasie, w ktorym cieszyli się z powrotu światła słonecznego, w tymże oraz czasie płakali nad stratą jednego z swych towarzyszow; ktory, zmocowany długą chorobą i nędzą, pomarł. Sprawili mu pogrzeb w śniegach.

Pod tę porę powrociły nazad niedźwiedzie, a natomiast lisy precz odeszły. Niedźwiedź, ktory pod samą budę napadł

na flisow i poległ, tak był tłusty, iż przetopiwszy z niego sadło, ktorego zażywali do palenia lampy, znalazło się czystego łoju więcey niż 100 funtow.

Po kilka kroć dosyć znacznie zelżało zimno, ale znowu przypadały tęgie mrozy: wśrzod lutego, uchwyciły straszliwe i prawie nie do wytrzymania zimna. Tak częsty i niespodziewany powrot mrozow, byłby zapewne zraził wszystkich, gdyby ich nieożywiała nadzieja, iż aboś kiedyż tedyż nadeydzie moment wyrwania się z tey biedy. Naywięcey starali się o dostateczny zapas drzewa, lubo z niezmiernemi trudami przychodziło im wyszukanie i sprowadzenie onego do budy. Bo nie tylko musieli daleko chodzić za drzewem, ale nadto z pod niezmiernych zaspow śniegu je wydobywać, i przez rownie przepadziste zaspy sprowadzać. Tylko! co iest nad siłę człowieka, maiącego serce hartowne, zwłaszcza gdy go bieda i potrzeba przyciska!

Jednego dnia, gdy po wytrzymanych trudach dziennych udali się do spoczynku, przyszedł niedźwiedź do budy, przeraźliwym mamrzeniem daiąc znać co ma za zamiar. Zerwali się wszyscy, chwycili za strzelbę, palili do niedźwiedzia. Ale żaden muszkiet nie wystrzelił, bo proch zamokł na panewkach. Co za nieszczęście! Tym czasem niedźwiedź zchodzi do budy po schodach wyrobionych ze śniegu, i zaczyna drzwi wysadzać. Heemskerk poskoczył do drzwi, i tak silnie je przypierał, iż niedźwiedź po kilku szturmach nadaremnych, odszedł precz. Lecz iakby sobie coś przypomniał, powrocił niebawnie, wlazł na dach budy, i tupaiąc po nim, tak przeraźliwie mamrzał, iż wszyscy potruchleli ze strachu. Wspiął się na komin, szamotał nim tak mocno, że tylko wyglądali, rychło komin zapadnie do budy. Na reszcie poszarpawszy w szmaty żagiel, ktorym buda była pokryta, powtornie precz odszedł.

Tęgie mrozy trzymały aż do dnia 15 kwietnia. Tego dnia poszli zayrzeć do okrętu, co się z nim dzieje; ale go w tak lichym, iak zostawili, stanie znaleźli. Zator lodow, na ktorym wysadzony styrczał, doszedł do niezmierney ogromności i w rożne ukształcił się postawy. Tu wzniosły się bardzo wysokie lodowate wieże; tam długie i z obu stron iakby domami zabudowane wydawały się ulice; indziey, niby zamki, ogromnemi wałami i basztami stały warowne; daley zdało się jakoby rozstąpiły się lody, i morze do pierwszey powracało płynności. Widok ten wzniecał w sercu każdego nadzieję i chęć do prędkiego odjazdu. Ale Heemskerk postanowił czekać do końca maja, ażeby mu nie wymáwiano, iż zaprzątniony ratowaniem siebie, zawczesnie stracił nadzieję o ocaleniu okrętu.

Nadszedł koniec maja, a okręt w iednakowym stanie zostawał. Zator,

ktory go otaczał, zdał się bydź przymarzły do dna morskiego, bo stał w mieyscu niewzruszony wtedy nawet, kiedy lody odlegleysze skołatane falą, pływały wolnie po morzu. Już na ten czas kapitan kazał wydobyć szalupę i czołn z pod śniegow, ażeby je, ile możności, przyporządzić do podroży tak odległey i tak niebespieczney, iaką zamyślali przedsięwziąć. O! jak przyiemnym dźwiękiem rozkaz ten zabrzmiał w uszach żeglarzow, dla ktorych naywiększe niebespieczeństwa były niczym w porownaniu z tym jednym, aby reszty życia nie spędzać w okropney krajnie zimy wiekuistey. Ale biedni utracili bardzo wiele z pierwszych sił swoich ; a tu trzeba było mocy olbrzymiey do wyciągnienia dwoch statkow z pod ogromnych zaspow śniegu. Ostatnich sił dobywali niebożęta: często bardzo tak pomdleli, iż członkami władnąć nie mogli; wszakże skoro odezwał się kapitan. „

„ Jeżeli niechcecie bydź mieszkańcami

„ Nowey-Zemli, i żywcem w jey śnie-
„ gach zagrzebanemi zostać; trzeba ko-
„ niecznie wyporządzić oba statki, boć to
„ na nich cała zasadza się nadzieja oswo-
„ bodzenia naszego z tey niedoli!. „ Te słowa, ni grom iaki obiwszy się im o uszy, trzeźwiły i zasilały zemdlonych, tak, iż dokazali rzeczy prawie niepodobnych.

Cały may zszedł na naprawie i uporządzeniu obu statkow. Bardzo często niedźwiedzie napadały na nich pod czas roboty, i nie raz tylko co niezostali pastwą tych zwierząt drapieżnych. Czasem też ułagodziło się powietrze, i morze zaczynało bydź wolnieysze od lodow; ale znowu skoro dmuchnął wiatr pułnocny, wrociły się mrozy naytęższe, i na nowo morze zawaliło się wciąż lodami.

Pierwszych dni czerwca, zaciągneli po lodzie oba statki ku okrętowi, ażeby je potym, gdy wszystko w gotowości sta-

nie, można było podprowadzić daley ku brzegowi lodow, i zepchnąć na wodę. Następuiących dni zaczęli zwolna rozbierać budę, i wprzod znosić do okrętu to wszystko, co tylko im się przydać mogło do przyszłey podroży. Od budy do okrętu było tak daleko, jak z okrętu do owego mieysca, gdzie morze było wolne.

W czasie tey roboty zaskoczyła ich burza gwałtowna, zmieszana z śniegiem, gradem i deszczem. Dawno tak straszney nawalnicy nie doznali; zaczym przymuszeni byli porzucić wszystko, a schronić się do budy. Ale i w budzie przemokli do nitki. Bo gdy deski ktoremi była okryta buda, zabrali na pobitkę statkow, natomiast obsłonili budę żaglami, a przez te tak obficie woda ciekła, iż zupełnie budę zalała. Wytrzymali niebożęta cierpliwie tę przykrość; a nazajutrz znowu przenosili rzeczy z budy do okrętu.

Dnia 11 czerwca, nowym nieszczę-

ściem zagrożeni zostali. Już wszystkie żywności i rzeczy, do podroży nieodbicie potrzebne, zniesione były do okrętu, a oba statki, na ktorych mieli płynąć, stały obok niego. W tym nagle powstaie burza tak gwałtowna, iż tylko czekali, rychło lody pokruszą się, a okręt ze wszystkim, co było na nim, przepadnie na dno morskie: gdyby to się stało, iużby nie mieli żadnego sposobu do wydobycia się z tey niedoli. Ależ przecie szczęśliwie burza przeszła.

Zakrzątnęli się co żywo około ostatniey, iaka im pozostała roboty; to iest zaciągnienia obu statkow do wody, i odbicia na morze. Ale na to potrzeba było utorować wprzod drogę od okrętu do morza czystego. Lody, iako się wyżey rzekło, zbiły się w ogromne zatory, nakształt gor i szańcow. Wypadało więc te zatory, ile możności rozbić i zrownać; a pewnie nie tak to łacno było dokazać.

Z tym wszystkim rzucili się z ochotą do siekier i oskardow, ieszcze iednę potyczkę odprawili z niedźwiedziem, ktory poległ na placu, i przecież dokonali zamierzonego dzieła.

Barenz i kapitan Heemskerk spisywali aż do tego momentu dziennik swych przypadkow. Przepisali go na drugą rękę, i zamknąwszy w pudełku zostawili na okręcie dla przestrogi tych, ktorzyby kiedy nieszczęściem zapędzeni byli w te strony. Wytknęli oni tam mieysce, gdzie stała ich buda; wyrazili oraz sposoby, ktoremi przez dziesięć miesięcy utrzymywali się w tey okropney krainie. Znać ztąd, iak ci ludzie poważali prawa ludzkości, kiedy starali się słodzić los tych, ktorychby nieszczęście zapędziło w tę stronę. Tak to utrapienia, ktorych sami doznaiemy, uczą nas politowania, i ludzkości względem drugich; i ta to iest przyczyna między innemi, dla ktorych

opatrzność 'zsyła przeciwności na ludzi. Heemskerk złożył także po iedney kopii dziennika swego na każdy statek, ażeby gdyby ieden zaginął, a drugi szczęśliwie dostał się do lądu, wiara była dana zeznaniu pozostałych żeglarzow. Jżby zaś ten dziennik ieszcze bardziey upoważnić, kazał go wszystkim podpisać.

Zaciągneli statki nad wodę, a potym saniami pozwozili ich ładunek: rzeczy, ktorym wilgoć zaszkodzić mogła, poobwijali żaglámi, napuszczonemi smołą. Cały ich ładunek składał się z sześciu pak sukna cienkiego, z jedney skrzyni płotna, z dwoch pak aksamitu, z dwoch skrzynek srebra, z dwoch fas lin i płotna dla flisow, z 13 beczek sucharow, z jedney beczki syra, z małey beczki sadła, z dwoch beczek tłustości, z sześciu beczek wina, z dwoch beczek octu, i z rożnych rupieci flisowskich. Właśnie też w obu statkach na tyle tylko mieysca starczyło.

7.
Odjazd z Nowey-Zemli. Niewymówne niebespieczeństa i biedy.

Dnia 14 czerwca, roku 1597 o godzinie szostey z rana wsiedli na szalupę i czołn, i puścili się na morze. Chorowało dwoch, to iest Barenz i flis ieden. Po iednym chorym rozłożyli na każdy statek, ażeby tym lepsze można było o nich mieć staranie.

Rozpoczęli tedy z niewymowną radością i odwagą żeglugę, iakiey od stworzenia świata nie było przykładu; bo puścili się na przebycie więcey niż 350 mil na dwoch lichych statkach, nie pokrytych, a to ieszcze z takiego mieysca, gdzie śrzodek lata rowná się śrzodkowi naszey zimy; nadewszystko zaś przez morza zawalone ogromnemi bryłami lodow, ktore

raz

raz ścinały się z sobą, drugi raz uniesione wiatrami, tłukły się i druzgotały iedne o drugie. Przydać ieszcze należy, iż tę żeglugę podięli w siłach i ciałach wycieczonych zupełnie poprzedniemi trudami. Tonie myśl w zadumieniu, rozważaiąc w całey swoiey przestrzeni wielkość tak niebespiecznego i tak przykrego przedsięwzięcia.

Mieysce, na ktorym przepędzili zimę, był brzeg wschodni Nowey-Zemli, iáko się wyżey okazało. Naykrotsza droga ztamtąd do wielkiego lądu byłaby iachać wciąż przytym brzegu, zmierzaiąc zawsze ku południowi. Ale Heemskerk obrał drogę naydalszą, nie wiadomo dla czego. Może myślił, iż przy brzegach zachodnich Nowey-Zemli będzie morze nie tak zawalone lodami, iak przy wschodnich. Postanowił więc płynąć nayprzód ku pułnocy, potym obiechać cypel pułnocny Nowey-Zemli, czyli iak

go zowią, kap lodowaty, a dotarszy do zachodniego brzegu Nowey-Zemli, dopiero zawrocić się na południe.

Stosownie do takiego układu rozpięto żagle ku pułnocy. Ale zaledwo podpłynęli cokolwiek, tak ich osaczyły lody, iż nie sposob było daley postąpić. Zły początek! zabobonne umysły wzięły by go za niepocieszną wrożbę; ale nasi wędrownicy, rodowici Holendrzy, pamiętali że są mężami niezwalczonego serca i umysłu: odrzuciwszy więc postrachy dla zgrzybiałych guślarek, czynili to, co w takowym razie czynić przystało nieodrodnym potomkom mężnych Batawow. Uchwycili kotwicami do lodu, czekaiąc aż się kry przerzadzą, a tym czasem topili śnieg przy ogniu na wodę świeżą. A tak zamiast zrażenia się w przedsięwzięciu pierwiastkowemi przeciwnościami, usiłowali z nich korzystać, i to to iest co się zowie działać mężnie i przezornie.

Niebawnie podała się sposobność do dalszey żeglugi, dmuchnął wiatr pomyślny, zatym uderzyli w wiosła z taką usilnością, iż trzeciego dnia dotarli do cypla pułnocnego Nowey-Zemli. Tym czasem w dwoch chorych wzmagała się coraz bardziey choroba; chociaż Barenz, kiedy się go pytali o stanie zdrowia, odpowiadał iż ma się lepiey, i że tuszy sobie ieszcze tą razą wybiegać się od śmierci. Pytał: czy iuż dopłynęli do cypla lodowatego? a gdy mu powiedziano że iuż; kazał się podnieść, chcąc mu się dobrze przypatrzyć. Jakoż miał na to dosyć czasu; bo statki zaparte lodami, musiały stać w mieyscu.

Następuiącego dnia kiedy się przemykali między gęstwą lodow, te tak gwałtownie bić zaczęły na ich statki, iż wszyscy w ostatnim przerażeniu wyglądadali tylko co moment rychło roztrzasną się w drobne kawałki. Musiał pęd wody

morskiey nieść krę bystro w owę stronę, iż niepodobna było ani jey odeprzeć, ani zwrocić od statkow: tak zaś gęsto zwalona płynęła, iż nie było sposobu przez nię przerzynać się. Tu iuż śmiałkowie naywięksi zwątpili! iuż się osądzili za zgubionych, i jaki taki żegnał się z drugim. Błysnął ci wprawdzie ieden sposob ratunku; ale wszystkie usiłowania, aby go uchwycić, były nadaremne. Oto niedáleko ztamtąd widać było wielką łachę lodu tęgiego, na ktorą dobrawszy się, byliby bespieczni od srogich szturmow kry; ale iak się do niey dobrać! ani głowa, ani ręce, nie znayduią srzodka żadnego: gotowa rospacz! pewna zguba! bynaymniey. Tu proszę uważyć, iak częstokroć jeden człowiek przemyślny i odważny staie się zbawieniem całego towarzystwa! Oto jeden flis, nazwiskiem Van Veer, ktory w tylu iuż przypadkach dał dowody serca swego i duszy, odważa się na iawne niebespieczeństwo, aby tylko

drugich ocalił. Uchwyciwszy koniec liny w rękę, rzuca się ze statku, a przeskakuiąc ze kry na kre, dostaie się na lod tęgi. Ztamtąd podholowane liną statki ieden za drugim, dobrały się przecież do łachy. „ Winszuię ci, zacny „ Van-Veerze! owey słodkiey roskoszy, „ iáką serce twoie uczuło, patrząc na „ wspołtowarzyszow, odważeniem się „ twoim ná śmierć, wybawionych od „ śmierci! „

Naypierwsze staranie było o chorych. Zawinąwszy ich w płachty, wynieśli na lod, i dobrze otulili. Potym trzeba było wyładować statki zupełnie, wyciągnąć je na lod, i na nowo naprawiać; bo w wielu mieyscach skołatane były od lodow. Po tey robocie wyszli na ląd, do ktorego lod tęgi, ich zbawiciel był przymarzł; tam szukaiąc jay ptasich dla chorych, nie zdobyli ledwo kilka ptaszkow.

Nazajutrz całe morze szeroko na dal

zasklepiło się lodem. Co za widok okropny i pełen rospaczy! rzekłby kto, że nie na co innego udało im się tu dopłynąć, tylko na większą biedę i nieszczęście. Ci, ktorym zdrowie iako tako służyło, zazdrościli losu Andrisowi choremu swemu koledze, ktory iuż iuż dogorywał, iż niebawna śmierć postawi go wkrotce u kresu troskow świata tego. Barens, posłyszawszy takie mowy, oświadczył iż iego śmierć także iest bliska: ale że się pilno przypatrywał mappie owego mieysca, odrysowaney od Van-Veera, nie sądzili, żeby tak się źle miał, iak mowił, i do czego innego mowę zwrocili. Barenz złożywszy mappę, kazał sobie dać pić. Ledwo co się napił, skłonił głowę, i z wielkim towarzyszow swoich żalem skonał. Utracili w nim kochanego towarzysza, i żeglarza biegłego, na ktorego wiadomościach zasadziła się po większey części nadzieia pomyślnego skutku w przedsięwziętey podroży. Niebawnie i ßiis Andris życia dokonał.

Musieli niebożęta stać w mieyscu przez całe cztery dni pośrzod śniegow i łodow, bo zator, ktory wielką część morza do koła zawalił, nie ruszał się z mieysca. Piątego dnia, to iest dnia 22 czerwca, dmuchnął wiatr południowo-wschodni, i cokolwiek morze przeczyścił. Jak nayprędzey na nowo zładowali statki, i zaciągnęli je o 50 krokow do wody. Ale ledwo co je zepchnęli na morze, znowu trzeba było przeciągać je przez drugie lody; aż nakoniec dobrali się do morza czyścieyszego, płynęli nieco ciągley, lubo nie bez ustawicznych zawałow.

Dnia 25 kiedy stali na kotwicy przy wielkiey łasze lodu, powstała burza gwałtowna. Ta, zgruchotawszy lod, przy ktorym uchwycone stały statki, rozrzuciła oba od siebie. Uniesieni na głąb morza, w ustawicznym zostawali niebespieczeństwie; raz, żeby ich nie zatarły lody; drugi raz, żeby fala nie zalała

Ostatnich sił każdy dobywał, ażeby się dostać nazad do brzegu. A kiedy nie mogli tego dokazać robiąc wiosłami, tedy ośmielili się napiąć żagiel masztu przedniego, to iest mały żagiel, przywiązany do masztu, stoiącego na przedzie okrętu; ale ten maszt pękł na czołnie, i musieli rozpiąć żagiel wielki, żeby zdążyć za szalupą, a nie ostać się w srzoi oceanu na sztychu wiatrow i fali. Ledwo co napięli żagiel, aliści wiatr tak gwałtownie go rozdął, iż nieuchronnie byłby statek wywrocił, gdyby byli nie pospieszyli spuścić go co nayprędzey. Dziurgała woda ze wszech stron do czołna; a znayduiący się na nim, mieli się iuż za zgubionych. Na szczęście! niestracili przytomności umysłu, tak potrzebney w momencie rospaczy do ratunku i pewnie nie była to dla nich ostatnia z przeznaczenia godzina. Nadspodziewanie, burza biiąca od pułnocy, zmieniła się w umiarkowany wiatr pułnocno-zachodni, i tym wiatrem

dogrzebali się do lodow nadbrzeżnych. Ale szalupy nigdzie zoczyć nie mogli. W mniemaniu, że mgła zasłania ią gdziekolwiek przed ich wzrokiem, płynęli ciągiem mimo lodu nadbrzeżnego. Nie widać cale szalupy! iuż ą mieli za zgubioną. Wszakże, gdy V n-Veer, kommendant dał kilka razy ognia z możdzerza, z wielką radością usłyszeli odpowiedne odstrzelenie z szalupy. Tym sposobem, ktorego w podobnych przypadkach używali zawsze pomyślnie, oba statki zobopolnie znalazły się.

Pędzili daley nieszczęśliwą podroż, i następuiącego dnia płynęli około łachy lodu, na ktorey leżało niezliczone mnostwo krow morskich. Nigdy im się nie zdarzyło zdybać razem tak wielkiego stada tych zwierząt. Nie zła by to rzecz była wyprawić łowy na nie; ale tak z biednionych żeglarzow nie ruszała żadna pokusa. A znowu, na co by się

przydało zabijać daremnie krowy morskie, kiedy nie mieli sposobności ani zabierać z sobą ich kły, ani użyć do czego. Woleli raczey strzelać do ptastwa przelatuiącego, ktore potrzebnieysze im były, niżeli zęby krow morskich: jakoż ubili ich iaki tuzin.

Dnia 28 czerwca płynąc mimo wielkiey łachy lodu, i widząc iż gęsta kra na nich naciera, uchwycili kotwicami przy łasze. Wyładowali wszystko na lod ze statkow, same nawet statki wciągnęli na lod, a zrobiwszy szałas z żaglow, położyli się spać zostawiwszy jednego na straży. Przezorna cale była ta ich ostrożność; bo około pułnocy postrzegł stroż trzech niedźwiedzi białych, dążących śpieszno ku sobie. Ciężki mord byłby nieochybnie nastąpił, gdyby stroż dostrzegłszy ich wcześnie, krzykim przeraźliwym nie wzbudził swych towarzyszow. Ubili iednego niedźwiedzia, a

dwoch uszło. Ale nazajutrz powrocili oni, i jeden chwyciwszy zębami zabitego niedźwiedzia zawlokł go bardzo daleko aż na sam brzeg lodu; tam go oba zaczęli zajadać. Dano wraz ognia do nich, i odegnano. Czterech ludzi poszło po niedźwiedzia, i z wielkim zadziwieniem znaleźli prawie przez połowę z żartego. Co zostało od pożarcia, ledwo czterey ludzi zdołali zadźwigać; a jeden niedźwiedź zawlokł snadnie całego niedźwiedzia! Z tey okoliczności można brać miarę, iak wielką siłę maią te niedźwiedzie.

Ponieważ wiatr zachodni dął gwałtownie dnia tego i następuiących, tedy przymuszeni byli przez cały ten czas bawić na lodzie. Bardzo wiele napaści doznali od niedźwiedzi, ale czuyność i odwaga ochroniła ich od szwanku.

Z dnia pierwszego na dzień drugi lipca, mieli noc nayokropnieyszą i nayniebezpiecz-

bespiecznieyszą w całey podroży. Z wieczora około godziny dziewiątey, gwałtowny wicher zachodni, tak potężnie zwalił lody na ich łachę, iż jey sztuka, na ktorey właśnie siedzieli, pękła, i pływać zaczęła. Naywiększe było zrazu nieszczęście, że wszystkie paki i beczki leżały na lodzie, a to ieszcze tam, gdzie się spękał; zatym większa ich część ztoczyła się do wody. Ale nie dość na tym! Statki stały na samey krawędzi kry oderwaney i z połaci obroconey ku morzu, tak dalece, że wszystkie lody biły w tę połać, zatym wygrażały co moment, albo zdruzgotaniem, albo zatopem statkow i ludzi. Trzeba było więc przeciągnąć statki co nayprędzey na inną połać kry pływaiącey, obroconą ku lądowi. Wszakże kiedy oni nad tym pracuią, trzaska lod, i rozpada się im pod nogami. Porywa kra czołn i ludzi około niego pracuiących; pęka maszt; a cały statek skołatany krą i falą, przesiąka wodą. Biedni

ludzie, przeskakiwali ze kry na krę, a przytym czołn w puł rozbity ciągneli za sobą. Na nieszczęście! znaydował się chory przy nich, ktorego poczciwi koledzy niechcieli porzucać, chociaż każdy miał aż nadto do czynienia w ratowaniu życia własnego. W tak jawnym niebespieczeństwie zguby, dźwigali chorego na ręku, przenosili ze kry na krę, aż nakoniec szczęśliwie do szalupy dotarli. „ Patrz, „ czytelniku! czego dokazuie pociąg „ ludzkości w sercu nie zaiętym na„ miętnością!... Przebog! w tym czasie, „ kiedy wielu bogatych i nieczułych ro„ skosznikow, z trętwym i kamiennym „ sercem ledwo pomyślą rzucić iaki z sto„ łu swego ogryzek zgłodniałemu bliź„ niemu, albo kilką ztyranemi garami „ obsłonić nagość iego!... w tym samym czasie, oto biedni żeglarze, wycięczeni głodem, zimnem i nędzą, odważaią wszystko co tylko maią, bo odważaią własne życie dla ratunku chorego współbrata.

ktory im był na zawadzie, i ktory procz tego długo żyć nie mogł! Otoż to iest, co się zowie ludzkość! to mi widok, na ktory całe niebo i cała ziemia słodkiemi czułości łzami oblać się powinny! Opatrzność wymierzyła wraz nadgrodę tak zacnemu czynowi. Nad wszelkie podobieństwo i nadzieię, nie tylko uratowali własne życie i chorego, ale oraz i statki, wyciągnąwszy je szczęśliwie na lod tęgi. Uratowali nawet wiele sprzętow i pak z wody; uspokoiła się burza; a iak to zawsze bywa, po nawałności zajaśniała pogoda.

8.

Dalszy ciąg niebespieczney żeglugi około brzegów Nowey-Zemli. Opisanie Samoiedow. Przylądowanie szczęśliwe do brzegow państwa Moskiewskiego.

Kiedy połowa żeglarzow zatrudniała się naprawianiem skołatanych burzą statkow, drudzy przeszli z lodu na ląd, po drwa na opał, a szczegolniey po pień zdatny na maszt. Szczęśliwie znaleźli iedno i drugie, gdyż po brzegu leżało wiele drzewa napędzonego falą zkądinąd. Znaleźli nawet drwa rąbane i kliny do łupania; ztąd wnieśli, iż w owey stronie muszą znaydować się ludzie. Ach! iaką radością serce ich z tey okoliczności zostało przeięte! iak skwapliwie pobiegli donieść o tym trafie towarzyszom swoim, okazuiąc im kliny! Prawda iż poniekąd można było tłumaczyć że rybacy Moskiewscy wybiegłszy na połow wielorybow, mogli kiedyś przebywać na tym lądzie. Wszakże taż sama myśl, iż przecie dociągnęli do mieysca, na ktorym są ślády pobytu ludzi, ucieszyła ich niewymownie. „

„ Tak to iest prawdą, że Bog skoiarzył „ ludzi między sobą, lubo niedocieczone„ mi, wszelako niemniey dla tego świę-

„ temi związkami przyrodzenia! Ztąd „ pochodzi, iż człowiek pragnie towarzy„ stwa drugiego człowieka, chociaż z „ niego żaden zobopolny nie zawięzywał „ mu się użytek! „

Dnia 5 lipca, chory flis, około ktorego drudzy, iako się rzekło, mieli tyle starania i ludzkości, pomarł.

Dnia 9 puściły lody; za czym co prędzey złądowali statki i odbili od brzegu. Znudziłbym moich czytelnikow, gdybym każdą nową przeciwność, iakiey ci biedni ludzie nieustannie doznawali, wyszczegulniał. Dosyć powiedzieć, iż też same coraz wypadały im sceny, też same biedy, też same niebespieczeństwa, iakie uważaliśmy do tych czas. Raz mocowali się z lodami, usiłuiącemi podruzgotać ich statki: drugi raz przeciągali też statki przez rozlegle łachy lodow, dobieraiąc się do morza płynnego; dopiero ztaczali bi-

twy

twy z niedźwiedziami: też znowu bronili się od napaści krow morskich, ktore w licznych stadach ścigały ich srogiemi kłami. Opuszczam więc to wszystko, a tylko zapraszam moich czytelnikow na ostatni cypel Nowey-Zemli, wybiegły ku południowi. Zaczym nasi wędrownicy tam dopłyną, my rozważmy niektore szczegulności plemienia ludzi prawdziwie osobliwego, ktorzy zazwyczay pod czas lata z dalszego lądu zachodzą w te strony na polowanie. Ludzie ci, zowią się Samojedy.

Narod Samojedow dosyć liczny, ma swoie siedliska w obszernych nadbrzeżach morza lodowatego, pod panowaniem Rofsyiskim, tak w Europie iako też w Azyi. Jest to gatunek ludzi, zwanych biegunowemi, a mieszkaiących w kraiach podsunionych pod biegun pułnocny, iako to: Eskwimanie Amerykańscy; Grenlandczycy; Lapończycy z Laponii

Norwegskiey, Szwedzkiey, Rofsyiskiey; Samojedy i Oszaki czyli Baszkiry, osiedli w Rofsyi Azyatyckiey.

Samojedy, tak jak inni mieszkańcy krain biegunowych, są bardzo niskiego wzrostu, nie maiąc więcey nad cztery stopy wysokości, a cery brudnożołtey. Mają nogi krotkie, głowę ogromną, skład twarzy płaski i szpetny, małe oczy podługowate, wielkie uszy, nos zadarty z szerokiemi nozdrzami i długiemi błonami, wielkie wargi, zęby drobne i brzydkie, wypękłe nad miarę brzuchy, a uda i ręce bardzo chude. Czarne ich włosy, są szorstkie iak szczecina, a wiszą im iak włokno aż do ramion. Męszczyzni bardzo mało, albo cale nic nie maią włosow na brodzie: ale nie można zapewnić, czy to tak iest z przyrodzenia, czy też że je sobie wyrywaią.

Męszczyzni i kobiety są podobni do

siebie, tak postacią, iako też stroiem, wyiąwszy, iż niektore kobiety, albo iak inni mniemaią, tylko młode dziewki plotą sobie włosy we dwa lub trzy warkocze, wolnie wiszące. W czasie zimy, noszą obuwia czyli łyże na kształt czołnow, długie tak niemal iak sam człowiek. Do tego obuwia na podeszwy używaią skory renetow niewyprawney, odwroconey szerścią na wspak, tak iż idzie pod włos od piety ku palcom. Wynalazek ten czyni, iż im nie tak łacno ślizgaią się nogi w tył, kiedy łażą po gorach lodowatych i śnieżnych; samo zaś obuwie służy do chyższego biegu. Suknie ich zimowe są ze skory renetow, ktore szyią żyłami tego zwierzęcia, tak iák nicią. Suknie letnie są ze skory Pangina (a) nieoskubaney z pior. Chustki robią z cienkiey

(a) Pangin iest ptak wodny, tak wysoki iak łabęć, ale dwa razy ogromnieyszy od łabęcia, wielki worek czyli grucroł wisi mu u piersi i iest bardzo tłusty i ciężki.

skorki brzozowey, i noszą je zawsze przy sobie.

Oboja płeć nigdy się nie myie, ani kąpie ; to też pełno brudu na nich i śmierdzą brzydko. W ich chatach, zrobionych z kory drzew i ze skor zwierzęcych, pánuie wielkie nieochędostwo i smrod nieznośny. Zdechlina wołowa, barania, końska, i innych zwierząt, ktorą zdybią po drogach, lub ktore im kto daruie, wisi wszędzie po domu, i jedzą ią surowo. Piją także juchę renetow bitych, tak ciepłą, iaka z żył wytryska.

Jest zwyczaiem u nich poymować tylo żon, ile się podoba ; wszelako rzadko się trafia, ażeby kto miał pięć żon, a większa część ma ich tylko po dwie. Kupuią oni żony u rodzicow za renety ; bywa że za jednę płacą po 100 renetow i więcey. Mogą się rozwodzić z żonami, kiedy zechcą ; wszakże to, co za nie zapłacili, przepada. Bogactwa ich, zawisły

na renetach. Ranifety, rybołostwo latem, polowanie zimą, iest zasadą ich pobytu: ryby także jedzą surowe.

Wierząc oni wprawdzie w jstotę naywyższą, i w biesa bardzo wielowładnego: ale ani jednemu, ani drugiemu czci nie oddaią. Oprocz tego, maią swych iakowychści bożkow domowych, od ktorych czasem zasięgaią rady, niewiadomo iakim sposobem. Słońce także i xiężyc czczą iako bostwa niższego rzędu. Maią iakoweś wyobrażenie o nieśmiertelności duszy; ale iednak wierzą, iż po śmierci dusza przechodzi z jednego ciała do drugiego. Pospolite krajopisarzow mniemanie nienaznacza u nich zadnych obrządkow religii. Rowność zupełna panuie między niemi, i tylko starcow szanuią więcey nad innych, a zatym ani znaią pana nad sobą, ani prawa, wyiąwszy iż rządowi Rossyiskiemu płacą pewną haracz w futrach.

Z tego wszystkiego okazuie się, iż

sposob życia tych ludzi iest naybiednieyszy: a wszelako, ktoby wierzył! maią oni siebie za szczęśliwych, i nie mienialiby losu swego na los innego narodu, zwłaszcza z polerownych ktorego. Przyczyna tego iest ta, iż nie znaią innych, ani potrzeb, ani chęci, nad te, ktorym łacno mogą zadosyć uczynić. „ Tu nauka dla nas, jak „ to dobrze przywyknąć do życia prostego i skromnego, ażeby bez wielkich zachodow znaydować wszędzie nasycenie; „ oraz iak się sposobić w zapas użytecznych talentow, ażebyśmy w każdym „ czasie dostarczyć sobie potrafili to, bez „ czego obeyść się nie można. „

Już teraz czas zwrocić się do naszych wędrownikow Holendrow. Dnia 3 sierpnia, po niezliczonych niebespieczeństwach i trudach, dopłynęli nakoniec do cypla południowego Nowey-Zemli, wszyscy zwątleni na siłach, wszyscy w pułstrawieni szkorbutem, ktory im iuż nieochybną

śmiercią zagrażał. Ale prawdziwie ziściło się na nich powszechnie wz ięte przysłowie: iż gdy ostatni dręczy frasunek, w tedy nayśpieszniey opatrzność zrządza ratunek. Bo gdy wysiedli na ląd, w myśli iakoby po ostatni raz, znalezli na nim wielką moc rosnącey warzęchy. Roślina ta, zwłaszcza surowa, iest nayskutecznieyszym lekarstwem na szkorbut; to wiedząc, rzucili się do niey, i pełnemi garściami ią iedli. Skutek dzielny i prędki przewyższył ich spodziewanie. Bo u niektorych dziąsła zepsute szkorbutem, tak iż zęby chwiały się, i nie mogli nic przeżuwać, wrociły się do pierwszey czerstwości, iż dobrze gryźli wszystko co tylko chcieli, albo raczey co mieli, bo też iuż zapasy prawie do szczętu wyiedli.

Przyporządzili się do przybycia przesmyku Waygatz, ażeby przybić do lądu nie dalekiego. Zrazu przeprawa ta szła dosyć pomyślnie; ale im bardziey zbliżali

się ku ziemi, tym więcey przybywało. lodow, tak dalece, iż nie raz zaparci krą zewsząd, musieli się zwracać nazad na głąb morza. Przecież dnia 4 sierpnia zoczyli brzegi Moskiewskie, a dnia 5 szczęśliwie zawineli do nich. Wysiadszy na ląd, szukali iakiey pożywności; ale step pusty, gdzie niegdzie tylko zielskiem i dzikiemi chrostami porastał. Niektorzy chcieli puścić się pieszo w podroż po lądzie; ale było zadaleko do Koli, miasteczka nad morzem białym, gdzie mogli spodziewać się, iż zastaną iaki okręt Hollenderski; a znowu dzikie stepy, przy siłach tak wycięczonych, okazywały niepodobieństwo takiey wędrowki: postanowili więc żeglować morzem na obu statkach.

Już całą żywność, iaką byli mieli, wyiedli, okrom trochy sucharow, ktore cale po pleśniały. Niektorzy przyciśnieni głodem, wzięli na statek zdechłe ciele

morskie, znalezione na lodzie, i cale iuż zgniłe. Ale gdy się zabierali do jedzenia iego, wstrzymali ich drudzy, wiedząc dobrze, że iadło takowe przypłaca się życiem. Podiedli ieszcze trochę spleśniałych sucharow, i płynęli daley.

9.

Zegluga po morzu białym. Opis Lapończyków. Szczęśliwy powrót do Amsterdamu.

Dnia 12 sierpnia z niewymowną radością uyrzeli barkę Moskiewską, ktora pełnemi żaglami dążyła ku nim. Zjachawszy się, Heemskerk wysiadł na nią. Zapytał: jak daleko iest ieszcze do Kandenoes, wyspy leżącey w weyściu do morza białego? Moskale nie zrozumieli, co mowił. Z wyrazu iednak kandenoes domyślali się, że Heemskerk chciał wywiedzieć się, w ktorą stronę trzeba pły-

nąć, ażeby się dostać do tey wyspy? Przywioższy kompas moskale, ukazali bieg, iakiego miał się trzymać. Heemskerk wziąwszy pieniądze w iednę rękę, wskazał drugą ręką na beczkę ryb, leżącą na barce. Zrozumieli to Moskale; przyięli pieniądze, a dali mu za nie 200 sztuk ryb, i kilka małych kołaczow. O! coż to za przysmak był dla wpułumarłych z głodu Hollendrow! podzielono wszystko na rowne części, i każdemu część iego oddano.

Dnia 13 sierpnia, gwałtowna burza rozrzuciła oba statki daleko od siebie. Skoro fala ustała, gruba mgła odięła im widok zupełnie, iż się nazad z sobą złączyć nie mogli. Heemskerk zostaiąc na czołnie, trzymał się ile możności brzegu; szalupa zaś uniesiona była precz na morze. W bojaźni i żalu nad losem swych towarzyszow, gdy płyną wciąż przez dni cztery, napadaią znowu na barkę Mo-

skiewską. Kiedy pod nię podpłyneli flisi barki, z własnego domysłu darowali im bochen chleba, ktory oni bardzo wdzięcznie przyięli. Moskale dawali im do zrozumienia, że zdybali na szalupie towarzyszow ich, w liczbie siedmiu. Ale gdy Hollendrzy poiąć tego nie mogli, wskazali im na migi siedm palcow, i statek tak otwarty iak czołn. Tu się zrozumieli, a dociekszy Heemskerk z migow, w ktorey stronie zaszło to zdybanie, zkierował czołn, a wiosłami i żaglami co żywo za szalupą puścił się.

Dnia 18 dotarli nakoniec do celu swych długich i usilnych chęci, to iest do cypla wyspy kandenoes, leżącey na wstępie do morza białego. Ale niestety! ani widać szalupy! Jeszcze im pozostała iedna bardzo niebespieczna przeprawa; to iest trzeba było z kandenoes przejachać przez morzę białe, pod czas wichru tęgiego i rozhukaney fali morskiey, aże-

by dostać się do brzegu záchodniego Laponii ; co czyniło około 70 mil żeglugi. Ale coż mogło bydź strasznego dla tych ludzi, ktorzy tyle trudow i niebespieczeństw iuż wytrzymali! Odważyli się więc weyść na to morze burzliwe w małym czołnie otwartym ; iakoż we 30 godzinach odbyli całą przeprawę.

Uyrzeli natychmiast małe chatki nad brzegiem, i wysiedli do nich na ląd. W tych chatach mieszkało 13 Moskali, maiących przy sobie dwoch Lapończykow, ich żony, i jedno dziecie. Moskale c prowadzili sposob życia cale prosty ; codziennym ich i jedynym pokarmem były ryby ; a biedni Lapończycy mieli ieszcze mniey do jedzenia, bo musieli przestawać na niedojadkach i głowach od ryb ciskanych im przez Moskali, a ktore oni objadali z wielką pokorą iak psiaki. Obyczay takowy przeniknął wskroś serca Hollendrow. W rzeczy samey ci, kto-

rzy przez tak długi czas zostawali w ostatniey nędzy, czuli politowanie, kiedykolwiek innych rownie biednych uyrzeli. Wszakże trzeba było tym czasem przestać na takowym uczuciu, gdyż nie było w mocy Hollendrow poprawić los biednych Lapończykow.

Ponieważ ciąg podroży doprowadził nas do kraju, w ktorym Lapończycy żyią, przewłocząc się z mieysca na mieysce, rozumiem iż przyiemną rzecz moim czytelnikom uczynię, gdy cokolwiek o tym narodzie krotko napomknę.

Lapończycy w wielu względach podobni są do Samojedow, opisanych wyżey, tak co do postaci, jako też co do życia sposobu. Ale zdaie się wszelako, iż cokolwiek zbliżaią się ku narodom polerownym. Cera ich brudnopłowa, pochodzi z nieochędostwa i dymu, w ktorym się wędzą w swych szałasach. Maią włosy

czarne krotkie, twarz płaską, lice zaklęsłe, podbrodek śpiczasty, usta wielkie, oczy małe, i są także wzrostu małego. Co się tycze sposobu ich życia, nie maią oni żadney znajomości o rolnictwie, rzemiosłach, i rękodziełach, ani chcą wiedzieć o nich; bo jedyną zabawą, przynaymniey większey części Lapończykow, iest bydło rogate, nadewszystko ranifety, ktore hoduią pilnie, i z ktorych opatruią wszelkie swe potrzeby. Te zwierzęta, są wszystkie dla nich, iako się rzekło wyżey.

Chowanie bydła rogatego, niedozwala Lapończykom żyć zawsze na jednym mieyscu; ztąd też wiodą oni życie tułaiące z swemi stadami, przenosząc się latem do krain pułnocnych, a zimą do południowych. Chocby tego czynić niechcieli, to ich same ranifety przymuszaią; bo te gdy wyżyruią wszystko w jednym kraju, udaią się do drugiego, ani można ich uhamować.

Budy czyli szałase Lapończyków, są w kształcie wygodnym do przechodu z mieysca na mieysce; robią się one z żerdek, splecionych w okrąg, szeroki u spodu, wąski u gory, nakształt koyca na kury. Pokrywaią go z wierzchu grubemi burami Szwedzkiemi, albo skorami ranifetow; a w niedostatku oboyga, gałęziami jodłowemi. Wewnątrz powłoczą rożnym odzieniem. W śrzodku tey budy zrobione iest pieczysko do niecenia ognia; a sam wierzch służy za komin i za okno. Dwadzieścia osob pędzi życie w takim szałasie, nie potrzebuiąc, iak my, osobnych dla każdego apartamentow. Stołki, kanapy, sofy, łożka, biora, buloary Lapończykow, iest barłog z gałązek sosnowych lub jodłowych, pokryty skorą ranifeta.

Dla przenoszenia rupieci, w czasie przechodu z mieysca na mieysce, używaią sani, wyrobionych nakształt czołnow.

Ranifety założone do tych sani, biegną chyżey i dłużey od naszych koni, czy to pod gorę, czyli na doł. Dawniey trzęsiono baśń, iakoby nie trzeba było te zwierzęta uzdą lub leycami kierować; ale dosyć było, gdy im ich pan szepnął do ucha, gdzie go miały zawieść. Ale teraz uznano to za bałamutną powieść. Lapończyk, dla śpiesznego chodu, używa takich samych obuwiow drewnianych, iakie noszą Samojedy. Łyże te, robią się z drańnicy wąskiey, na trzy lub cztery stopy długiey, zakrzywioney i zadartey z przodu, nakształt nosa okrętowego. Obuwszy te łyże na nogi, biorą w każdą rękę laskę, u ktorey spodu iest kołko poprzeczne, żeby w śniegu laska nie grzesła. W takim obuwiu, i z takiemi laskami, ślizgaią się bez zapadnienia po wierzchu śniegow naywyższych, i to z taką chyżością, iż potrafiliby niedźwiedzie i wilki w biegu doścignąć. Norwegianie, Finlandczycy, i Samojedy, używaią tego samego przemyślnego sposobu do biegu. Szwe-

Szwedzi i Duńczycy, bardzo wiele pracy podięli około oświecenia Lapończykow w wierze Chrześciańskiey; wszelako ieszcze znayduie się między niemi wiele zabobonu i bałwochwalstwa.

Między Lapończykami, tak iak wszędzie między gminem zjawiaią się nieustannie oszusty, ktorzy korzystaiąc z prostoty i zabobonności rodakow, udaią się za czarownikow lub wrożkow, sposobnych przy pomocy, iak mowią, złych duchow, przepowiadać rzeczy przyszłe, i sprowadzać szczęścia lub nieszczęścia na ludzi. Ci oszuści używali w Laponii pewnego bębenka do kuglarstw swoich: ale rząd Szwedzki, pod ktorym większa część Lapończykow zostaie, zakazał używać tego bębenka pod karą śmierci.

Znayduią się między Lapończykami niektorzy cale maiętni. Okrom tysiącow ranifetow, ktore są zasadą prawdzi-

wego ich maiątku, miewaią oni rożne sprzęty w srebrze, iako to: pierścienie, sprzączki, łyżki, kubki i t. d. Używaią oni teraz i pieniędzy. Ale życie ich obłędne, zniewala do zakopywania swych skarbow w ziemi; a gdy śmierć zaskoczy, tedy nawet trudno iest ich doyść. Ci bogaci Lapończycy, tułaią się po mieyscach gorzystych, gdzie znayduią dla stad swoich obfite pastwiska, i dla tego zowią ich Lapończykami goralami. Inni nie tak zamożni w ranifety, żyią po lasach, i kărmią się szczegulniey rybami i ptastwem. Chowaią także czasem krowy i barany; a ci zowią się Lapończycy lesni: są to strzelcy przewyborni!

Bogaty Lapończyk, woli raczey rozwalać się i spać przez cały dzień w swym szałasie, niż naymnieyszą robotą trudnić się. Ubodzy zaś tysiącznemi drobnemi zaprzątaią się rzemiosłami. Robią oni sanki nasadzane rożnemi wzorkami wy-

rabianemi na rogu lub cynie, robią łyżki, szkatułki, puzderka, koszyki, łuki i rozmaite narzędzia. Tak to maiątek czyni człowieka gnuśnym, a ubostwo pracowitym, i zdolnym, bądź w Laponii, bądź gdzie indziey.

Kobiety Lapońskie, naywięcey zatrudniaią się robotą odzieży na cały dom. Nie wdaią się bynaymniey do kuchni, bo to do męszczyzn należy. Ale natomiast wyprawiaią skory, ciągną drot z cyny dla ozdobienia nim pasow, sukień, i szorow do sanek.

Związki małżeńskie kojarzą się między Lapończykami, tak iak u nas między krolami, i panami udzielnemi. Młodzian i dziewczyna, niewiedzą nic, kiedy ich rodzice lub krewni zgodzą się między sobą na ich zamęście: nie patrzą tam, czy przypada jedno drugiemu? i czy mogą zobopolnie kochać się? ale cały wzgląd obro-

cony iest na posag oboiey strony. Rodzice wypatrzywszy do swego upodobania dziewczynę, prowadzą z sobą syna, czy on chce czy niechce, do rodzicow panny niosąc oraz przytym należyty zapas gorzałki. Przepijaią gorzałką. Jeżeli przepicie przyięto? dobry znak; zaczym wchodzą w targ. Ociec pana młodego oświadcza, iakie ma podarunki w pieniądzach i ruchomościach, dla oyca i bliskich krewnych panny młodey: na wzaiem rodzice panny młodey oświadczaią, jaki posag czeka za corką, i jakie podarunki z jey strony. Jeśli to wszystko ułoży się z obu stron? tedy dochodzi małżeństwo. Jeżeli nie? to krewni panny młodey płacą za gorzałkę wypitą pod czas zmowin. Na wesele, każdy z zaproszonych niesie z sobą sporządzoną potrawę: temi potrawami zastawiaią stoł bez braku, i każdy bierze i je z całego składu, co mu się podoba.

Lapończykowie zaprawiaią wcześnie dzieci swoie do wszelkich niewygod. Nie-

mowlęta wieszaią w naczyniu nakształt kolebki pod szczytem szałasu w dymie. Dwiema sznurami po obu stronach, kołyszą czasem tę kolebkę; w reszcie ludzie ci, wszelkiemi sposobami starać się maią wciągać swe dzieci do prac i trudow, między niemi zwyczaynych. Ale boday czy maiętni nie osobkuią się w tey mierze, tak iak u nas; bo inaczey narod ten byłby jednym z naypracowitszych w świecie, co się nie iści. O! bogactwa! jak to wy wszystko psuiecie!

Większa część Lapończykow zostaie pod panowaniem Szwedzkim; część pod Duńskim; część pod Moskiewskim. Ci, do ktorych Hollendrzy nasi zawinęli na brzegu pułnocnym morza białego, byli Lapończycy Moskiewscy. Ale dosyć o Lapończykach, wroćmy się do naszych wędrownikow Hollendrow.

Podjadszy poliwki ugotowaney z ryb świeżych i mąki, ktora im smakowała

wyśmienicie, puścili się piechotą w głąb kraju, dla szukania warzęchy ziela. Cały ten kray był stepem dzikim i pustym; wszelako zoczyli zdala dwoch ludzi na gorze; ztąd wnieśli, iż okrom 13 Moskalow, ktorzy ich uczęstowali dnia tego, musi znaydować się więcey mieszkańcow. Przestali na tym dostrzeżeniu, i powrocili nazad do czołna.

Owi dway ludzie z gory udali się w tęż drogę, i niebawnie doszli także do czołna. O! ktoż wyrazi radość, iaka w tym momencie ogarnęła wszystkich, gdy w tych dwoch ludziach, uznali swych zgubionych towarzyszow z szalupy! co za okrzyki! winszowania! i uściski były z obu stron! każdy się łacno domyśli, ja tylko dodaię, że szalupa niebawiąc nadpłyneli z innemi, i że w dniu tym szczęśliwym, w ktorym złączyli się na nowo, wyprawili sobie uroczystą, nierownie lepszą od naszych bankietow, wymyślnemi

pokarmami i napojami zastawionych, chociaż nie mieli nic więcey do iedzenia, tylko chleb i ryby.

Następuiącego dnia, zdybali rybakow; ale wiatr niedaiąc im dotrzeć do siebie, niedozwalał nic kupić. Postrzegłszy ich mocowanie się z wiatrem rybacy, rzucili im jednę sztukę stokwiszu bez zapłaty. „ „ Patrzmy! iak w każdym kresie swia- „ ta, i we wszystkich stanach ludzi, „ znayduią się tacy, u ktorych święte są „ ludzkości prawidła, zachowuią się pil- „ nie bez pociągu nawet korzyści.

Płynęli daley, i wieczorem napotkali innych rybakow, ktorzy ich zapytali po moskiewsku: „ gdzie iest ich rabbel to iest okręt? „ Odpowiedzieli rownie moskiewskiemi słowami, ktorych się nauczyli: krabbel propał to iest: iż okręt zginął. Daley rzekli rybacy: kool brabantskoi krabbel: ztąd wnieśli, iż daią

im znać że w koli znayduią się okręty brabantskie czy Hollenderskie: ta nowina ucieszyła ich niewymownie. Nuż zatym z całey siły robić wiosłami, aby iak nayśpieszniey poieżdzać. Ale gwałtowny szturm trwaiący dnia następuiącego, przymusił ich wysiąść na ląd. Zdybali małą gromadkę Lapończykow w lichym szalupie, ktora im potwierdziła doniesienie, że w kole są trzy okręty Hollenderskie, z ktorych dwa gotowały się wyiść pod żagiel. Z troskliwości, ażeby nie opoźnić się z przybyciem, naięli Lapończyka ażeby jednego z nich flisa zaprowadził do koli. Na trzeci dzień, gdy sam jeden Lapończyk powrocił bez flisa, zmieszali się nieco; ale odebrawszy list do Kapitana Heemskerka, opłonęli i owszem ucieszyli się, znalazszy w nim następuiącą osnowę: iż z wielkim zadumieniem przyimuią o życiu jego i towarzyszow: iż dawno iuż odżałowali ich iako zgubionych: iż bardzo im iest przyiemne zdarzenie

przeciwne: i że co nayprędzey wyieżdzaią na przeciw im dla serdecznego powitania. Podpisano: Jan Korneill Ryp.

Z razu po przeczytaniu listu, cieszyli się niezmiernie, ale w krotce wpadła im wątpliwość: co to za Jan Korneill Ryp? oy! czy to nie szyper drugiego okrętu, ktory z nami wyiachał w podroż z Hollandyi i rozminął się z nami pod Spitzberg? Nie musi to bydź ten sam! rzekli drudzy, czy podobna żeby on nie zginął dotąd, kiedy my nie zapędziwszy się tak daleko na pułnoc, o włos wybiegaliśmy się od śmierci! Ale imie iest też same. Na szczęście przypomniał sobie Heemskerk, iż miał list u siebie, ktory dawniey pisał był Korneill do niego. Szukać listu: porownali jeden z drugim: ukazała się ręka taż sama. O! co za nowy powod do radości, zacieraiący wytrzymane dotąd utrapienia! O! jak długie były dla nich godziny w oczekiwaniu na Korneilla i jego towarzyszow!

Nareszcie przyszedł ten pożądany moment, zoczyli z dala czołn; a gdy bliżey podjachał, poznali w pośrzod radośnych okrzykow *Korneilla* i flisa, ktory był wyprawiony do niego. Przypatrowali się sobie wzaiemnie, iako ludziom z innego świata przybyłym, i w uprzeymych rozpatrywali się powitaniach.

Korneill przywiozł z sobą beczkę piwa Rostockiego, wino, gorzałkę, suchary, mięso, słoninę, łososie, cukier, i inne przysmaki, ktorych dawno wędrownicy nasi w gębie nie mieli. Wyprawili sobie bankiet, a posiliwszy się należycie, odbili od brzegu, i drugiego dnia dopłyneli do okrętu Korneilla, ktory stał na kotwicy o pułmili od koli, na rzece tegoż imienia. Tam znowu nowa radość, nowa biesiada. Oboyga okrętow żeglarze, nuż się poznawać, nuż witać, nuż przypadki swoie opowiadać.

Radziby byli pewnie moi czytelnicy

wiedzieć przypadki Korneilla i jego towarzyszow : bardzo żałuię że chęci ich dogodzić nie mogę, nie znayduiąc ich szczególnego opisu.

Nacieszywszy się i nabawiwszy z sobą wzaiemnie, puścili się do Koli, i za pozwoleniem wielkorządzcy Moskiewskiego, złożyli w giełdzie tameczney oba statki, na potomną pamiątkę, tak wielkiey i tak osobliwey żeglugi, przez nich podiętey. Bez ochyby statki te długim przeciągiem lat zepsute zostały, wszelako spodziewać się należy, iż dziś ieszcze znalazłyby się iakowe z nich oszczątki.

Dnia 15 Września, wsiedli wszyscy na okręt Korneilla Ryp na powrot do Hollandyi. Odbili natychmiast od brzegu, a dnia 2go listopada roku 1597 przypłynęli szczęśliwie do Amsterdamu, w tym samym stroju, i w takichże kapuzach z futer białych lisow, iakie no-

sili na Nowey-Zemli. Widok ich i powieści przypadkow, sprawiła w całym Amsterdamie zadumienie powszechne.

DRUGA PODROŻ

Do Spitzberg i dziwne tamże przypadki czterech flisow Moskiewskich mogąca służyć za dodatek do poprzedzaiącey podróży.

Pewny kupiec z miasta Metzen, leżącego w państwie Moskiewskim nád morzem białym, wyprawił okręt w roku 1743 pod Spitzberg ná połow wielorybow, lub psow morskich. Okrętowi temu służył wiatr pomyślny tak ciągle, iż w ośm dni po odbiciu od brzegu, uyrzał się w bliskości Spitzbergu. Zamysł był szypra, podpłynąć pod tę wyspę, i zarzucić kotwice w stronie jey zachodniey, gdzie też okręty innych narodow na ten koniec stawać zwykły. Ale nagle zmienił się wiatr, i mimo usilności flisow, rzucił okręt na brzeg wschodni tey wyspy. Niepocieszny był to traf dla nich, jako wie-

dzących z doświadczenia, że daleko więcey lodow znayduie się z tey strony wyspy, aniżeli z drugiey: iakoż i skutek to potwierdził; bo ledwie co dotarł okręt do brzegu, alić ogromne lodow zatory, tak go zewsząd ścisnęły, iż iakby w murowany stanął. Wiadomo iest z poprzedniey podroży, co to iest bydź tak ściśnionym lodami; zaczym nie będę na nowo wyobrażał tey okoliczności.

Uznali niebawnie, iż okręt znayduie się w stanie bardzo niebespiecznym, i że żadney niemasz nadziei, a przynaymniey bardzo mała ocalenia onego. Jedyna więc do rozwiązania pozostała okoliczność: co maią czynić ludzie, ażeby życie swoie, ieżeli to bydź może, uratowali?

Ląd, ktory im stał na widoku, nie był to ieszcze właściwy ląd wielkiey wyspy Spitzbergu; ale ląd małey wyspy leżącey na wschod wielkiey, ktorą dla tego

nazywaią Spitzbergiem wschodnim. Na mappie Moskiewskiey Homanna, da się ona dostrzedź pod Spitzbergiem właściwym.

Kiedy przemyślali nad sposobami ratowania siebie, przyszło na pamięć szyprowi, że przed kilką laty, umowiło się kilka osob z tegoż co i oni miasta Metzen, przepędzić zimę na tey wyspie: że w tym celu przywiezli z sobą podostatek drzewa na wystawienie budy: i że rzeczywiście dokazali tego. „ Musi więc, rzekł szy„ per, dotąd ieszcze stać taż sama buda: „ poszukaymy iey, i do niey się przepro„ wadźmy. „ To rzekłszy, bierze z sobą trzech flisow, i przeprawia się z niemi do lądu.

Szyper, zwał się: Alexiey Himkoff, a trzey flisi byli: Jwan Himkoff, Stiepan Szaropoff, i Fiedor Werigin. Zadziwia cię podobno czytelniku! moia dokładność,

iż imiona ludzi tak niskiego stanu podaię publiczney wiadomości i pamięci. Bądź cierpliwy: ufam ja, że imiona te, w dalszym ciągu okażą ci się arcy szanowne; i że w prostych flisach uczcisz naywiększych ziemi bohatyrow. Walczyć z przeciwnościami, iest to niepospolita walka: a ktokolwiek je cierpliwością i dzielnością umysłu przekonać może, ten daleko słusznieysze ma prawo do zwycięskiego wieńca, niżli ow rozległych krain hołdownik, burzyciel miast, wodz spluskany krwią ludzką. Jdźmy daley.

Wychodząc z okrętu, zabrali z sobą następuiące rzeczy: jednę strzelbę, jednę ładownicę z dwunastą nabojami prochu i tyląż kul; jednę siekierę, jeden kociołek do gotowania, worek z 20stą funtami mąki, krzesiwo, kawałek łątu, noż, worek z tytuniem, i cztery lulki drewniane. Nie bez przyczyny wyszczegulniam i te drobiazgi, da się widzieć ni-

niżey, że to nie uczyniłem na prożno, aby bając trzy po trzy. Jdźmy daley.

To tedy pobrawszy z sobą, i boday ieszcze każdy wziąwszy kiy w rękę, wysiedli z okrętu na lod. Przeciąg z lodu aż do lądu, mogł blisko mili ochodzić, i to była bardzo niebespieczna przeprawa ponieważ przebieraiąc się przez lod, ktory ieszcze nie zupełnie mrozem ściął się, a ktory nieustannie kołysały morskie bałwany, wypadało naywięcey przeskakiwać ze kry na krę, i to tak ostrożnie, ażeby się ani pośliznąć, ani w skoku uchybić, bo ináczey pewna zguba. Z tym wszystkim odbyli szczęśliwie tę przeprawę, i wyszli bez przypadku na ląd; ląd smutny, odludny, zawalony śniegiem lodami i pustemi skałami.

Uszedłszy cokolwiek, wynaleźli pożądaną budę; stała ona o ćwierć mili od brzegu morskiego: a co ich ucieszyło nay-

więcey, to to, iż w skazach swoich potrzebowała bardzo małey naprawy. Długość iey zamykała około sześć sążni, wysokość trzy sążnie, tyleż szerokość. Miała małą sień, a zatym dwoie drzwi, jedne do sieni, drugie do izby; co pomagało wiele do utrzymania ciepła w budzie napaloney. Oprocz tego, zastali ieszcze w niey piec Moskiewski gliniany, czyli ognisko bez komina. Takiego gatunku piece są bardzo pospolite w Moskwie; ponieważ służą włościanowi nie tylko do ogrzania się, ale też do gotowania jeść, i do spania na noc czeladzi. Dla odchodu dymu, wyrębuią dziury w ścianach izby; te się odsuwaią i zasuwaią według potrzeby. Dziury te, są oraz oknami, i nie pozwalaią dymowi opuszczać się niżey nad wysokość człowieka siedzącego na ławie.

Bardzo się ucieszyli nasi Moskale z znalezienia tey budy: a na obięcie i u-

gruntowanie jey posiadłości; przespali się w niey iak mogli. Nazajutrz skoro świt, puścili się na powrot do okrętow, chcąc donieść swoim towarzyszom o tak pożądanym wynalazku. Przychodzą nad brzeg.... a tu kto wyrazi strach i zdrętwienie tych biednych!... widzą, ile tylko można sięgnąć okiem... widzą morze czyściuchne... a nie widzą nigdzie okrętu!... Gwałtowna burza w nocy sprawiła to nieszczęście...

Przez długi czas stali iak osłupieli, w głębokim smutku i przerażeniu, pogłądaiąc jeden na drugiego. Otrzeźwili się potym cokolwiek czyniąc sobie nadzieię, iż może gdzie niedaleko fala okręt zaniosła... „aboś ci się zjawi!... aboś nad„ płynie...„ tak mowili do siebie, rzucaiąc okiem tam i sam po nieprzeyrzaney morza płaszczyznie. Zawodne mysli!... prożne nadzieie!... Nie zjawił się okret ... na żadnym nawet brzegu Moskiew-

skim nie powzięto o nim wiadomości . .. bez ochyby w bezdennych nurtach morskich pogrążony zginął! ...

Skoro się nasi Moskale zapewnili o tym nieszczęściu, obeyrzeli się z wzdrygnieniem na stan swoy, pełen rospaczy. „ „ Pędzić życie w kraju tak zimnym... „ na wyspie pustey ... z taką trochą mąki ... przy tak drobnych narzędziach, „ bądź do obrony od napaści zwierząt „ drapieżnych, bądz dla zdobycia pożywienia iakiego . . . w zupełnym przecięciu wszelkiey społeczności z ludźmi „ ... i naymnieyszey niemieć nadziei, aby „ można było kiedy wydobyć się z tey toni ... te uwagi snuły im się na myśli, „ i niewiem co za dzielne serce miałby „ człowiek, ktoregoby nie przeraziły.

Ale ci biedni znali dobrze, iż strach, płacz, i dumanie, na nic się nie przydadzą. Zatym wprędce zebrawszy myśl z

pierwszego odurzenia, zaczęli naradzać się, co im czynić należy, aby ile możności dociągnąć życie do tego kresu, ktory im zamierzyła opatrzność w tym stanie nieszczęśliwym. Naypierwsza rzecz z porządku do myślenia wypadała, naprawienie budy. Jako Moskale, nawykli sami sobie domy budować, nieuznawali w tey mierze żadney trudności, byle by tylko po doręδziu mieli rzeczy ktemu potrzebne, to iest drzewo i mech do utkania szpar. Ale iak tego dostać na wyspie cale dzikiey, gdzie nie doyrzeć ani jednego krzaczka, nie dopieroż rozrosłego drzewa? Wszakże opatrzność nie wypuściła ich z swey opieki. Pod śniegiem i między skałami znaleźli mchu podostatkiem nad brzegiem morskim dostrzegli tu i owdzie druzgi rozbitego okrętu; a co ich ucieszyło naywięcey, to wielka moc drzewa naniesionego falą, gdzie były wielkie kłody z gałęziami i korzeniami. O tym drzewie mowiło się w poprzedzaiącey podroży.

Jeszcze coś wynaleźli, co im także pociechę przyniosło: oto wielkie mnostwo ranifetow na tey wyspie żyruiących po nichach. Głod zaczął im dać się poczuwać, więc na sam przod obrocili pierwszy naboy ze dwunastu na zabicie ranifeta, z ktorego mieli pożywienie przez dni kilka. Tak zasileni, nuż co żywo krzątać się około budy, i w kilku dniach naprawili ią zupełnie.

Drugim ich staraniem było przysposobienie dostatecznego zapasu drzewa do opału, na straszliwe zimna w tey nowey osadzie. Zimna tę, nie trzebá mi opisywać na nowo; wiadome są z poprzedzaiącey podroży. I w tym także posłużyło im szczęście: a bijąc coraz ranifety, znaleźli dogodzenie swym naypierwszym potrzebom: i w rzeczy samey, takim ludziom, iákiemi ci byli, ktorych nieskaziła miękkość życia i roskoszy, łacno było wynaleść dogodę w swych potrzebach. Ale

na długoż to mogło wystarczyć? i proch i ołow wystrzela się niebawnie ... niemasz innego oręża ... czymże więc bić ranifety ... co gorsza, iak się obronić ustawicznym napaściom białych niedźwiedzi, ktorych przechodu trop dosyć blisko swey budy iuż dostrzegli? ...

Te uwagi były nayokrutnieyszą męczarnią: tu to trzeba było dobyć całey mocy, serca i umysłu, ażeby w tak cięzkim razie, nie stracić głowy, a z niczego wynaleść istotne sposoby ratunku. Pytam się moich czytelnikow: coby też każdy z nich podpadszy w podobne nieszczęście wymyślił, b dź na opędzenie głodu, bądź na obronę od niedźwiedzi? we trzech dniach trzeba koniecznie coś postanowić; bo Moskale ostatni iuż wystrzeliwszy naboy, i ostatniego dojadaiąc ranifeta, na dłużey frysztu nie maią.

Przychodzi komuś na myśl: oto maią

siekierę ; mogą jey użyć na obronę w przypadku napaści od niedźwiedzi. Przystaię na to, ale proszę uważać, iż siekiera nie może służyć, tylko jednemu, i to ten tak zręczny bydź powinien, iż by koniecznie za pierwszym ciosem ubił niedźwiedzia. Bo skoro chybi, albo niedobrze ugodzi, tedy niedźwiedź nie pozwoli się poprawić ; a zatym zguba nieuchronna spotka wszystkich. A kiedy dwa lub trzy niedźwiedzie razem oskoczą? co w tedy począć z iedną siekierą?

Pozwolmy iednak na rzecz niepodobną : daymy, że jedną siekierą można się dostatecznie obronić napaści niedźwiedzi : to iuż ułatwiony ieden punkt co do obrony ; podźmy do drugiego. Pytam się: zkąd? i czym pożywienie opatrzyć? Bić ranifety siekierą. A to iakim sposobem? kiedy one nie napadaią na ludzi tak iak niedźwiedzie, owszem pierzchaią szypko, iż niepodobna człowiekowi ich zgonić!

Rzecze kto: niech porobią dzidy, łuki, i strzały; jedne im posłużą do bitwy z niedźwiedziami, drugie do łowow na ranifety. Tak to łatwiey iest wymowić, niżli zrobić. Na dzidy i strzały, potrzeba mieć gwoździe żelazne; a ci biedni nie maią innego żelastwa, nad jednę siekierę, jeden noż, i jednę stalkę do krzesania ognia: to wszystko iest im nieuchronnie potrzebne do ocalenia życia: jakże tedy takie rzeczy na co innego przerabiać? Ale choćby mieli inne żelastwo; czymże je przekuć, bez kowadła, bez kleszczy, bez młota?

Widoczna rzecz iest, iż w ostatnim niebożęta zostawali ucisku, i przyznam się, że ja sam w tym momencie, kiedy to piszę u mego stolika, nie umiem nic wymyślić. Ale człowiek, jest to stworzenie przedziwne; nie zbywa mu nigdy na obrocie i przemyśle, skoro ostatnia bieda i potrzeba go udręczy. I dla tego my,

siedząc w izbach opatrzonych wygodami wszelkiemi, nie mamy głowy do obmyślenia ratunku dla tych biednych wyspiarzy. Wszakże niech no byśmy sami popadli w tak okropną niedolą; o! ręczę bardzo wiele nawijało by się śrzodkow, ktore teraz przy naywiększym natężeniu umysłu na myśl nie przychodzą. To pewna, iż opatrzność opieką swoią ogarniaiąca wszystko, w takim razie nie umyka swey ręki; ale owszem nawija, wskazuie, podźwiga narzędzia do wydobycia biednego z złey toni. Tylkoż człowiek powinien czynić wszystko, co iedno iest w iego mocy. Niech się graboli, niech się rzuca, niechay chwyta co może: opatrzność dokona reszty. Obaczmy oczywiste ztwierdzenie tey prawdy w ninieyszym przypadku naszych wyspiarzy.

Przekonani biedni, iż w niedoli nayokropnieyszey nie trzeba rąk opuszczać, i w prożney rospaczy myśl pogrążać, uda-

li się nad brzeg morski, i szukali pilnie, chociaż sami niewiedzieli czego. Pomiędzy druzgami rozbitego niegdyś okrętu wyrzuconemi na ląd, znaleźli lichą deskę, przy ktorey był hak żelazny bardzo wielki i bardzo gruby, oraz wiele gwoździ rownie dużych. U nas by to nic nieznaczyło, maiących dostatek wszystkiego, czego tylko potrzeba; ale u tych ludzi był to skarb nieoszacowany, ktorego by nie oddali za wor złota.

Znaleźli ieszcze drugi kleynot, na ktorybyśmy niechcieli ani spoyrzeć, nie dopieroż go z ziemi podnosić: kleynot ten, większego był u nich szacunku, niż korony Portugalskiey nieoszacowany dyament; bo oni szacowali tylko rzeczy według ich istoty, i użytku, nie tak iak my według prożności, przywidzenia i przesądu. Chcesz wiedzieć czytelniku! co zacz był ten kleynot tak drogi? oto korzeń jodłowy, dosyć tęgi i dosyć giętki.

Z temi nieoszacowanemi skarbami pobiegli do budy co żywo. Jeszcze po drodze napadli na kamień dosyć twardy i płaski z wierzchu; zabrali i ten z sobą, maiąc go obrocić na kowadło. Hak wielki znaleziony od nich, był okrągły, w końcu gruby a u dołu dziurawy; zapewne żeby służył do mocnieyszey nasady. Zaczęli ten hak rozgrzewać w ogniu do czerwoności, a tym czasem sporządzali kleszcze z rogow ranifetowych do trzymania. Położywszy hak na kowadle, przepędzali dziurą naywiększy gwoźdź, ażeby ią rozprzestrzenić. Jeszcze przygrzeli go; cieńszy koniec haka zagiąwszy odrąbali siekierą; w rozszerzoną dziurę zasadzili kawał drzewa; i zrobił się młot.

Odcięty od haka koniec krzywy i cienki, poklepawszy i sprostowawszy, zaostrzyli go na kamieniach; przywiązali rzemieniem z skory ranifeta do długiey i grubey gałęzi znalezioney na lądzie; i

zrobiła się dzida. Podobną dzidę ukuli z naywiększego goździa.

Już tedy nic niebraknęło, tylko doświadczyć broni wynalazku nowego: jakoż wraz podała się okoliczność do tego. Wielki biały niedźwiedź, zwietrzywszy wędrownikow, przystąpił pod ich budę; skoro go zoczyli, wyszli na przeciw niemu do bitwy: dway flisi ugodzili go dzidami w rozdziawioną paszczękę, i szczęśliwie, acz z trudnością, bo z całey siły bronił się, ubili go. Zwyciężcy otarszy pot z czoła, zawlekli zdobycz do budy.

Niedźwiedzie mięso służyło im za pokarm przez czas niejaki, i znaleźli je tak dobre, iak wołowe; czy to dla tego, że miało smak podobny; czy też że głodnym zdawało się tak smaczne. Wielkie futro kudłate, przydało się im dobrze na zimno. Jeszcze coś upatrzyli w niedźwiedziu, co im bardzo znaczny w

czasie zapewniało użytek: były to żyły, czyli ścięgi niedźwiedzie. Postrzegli (bo mieli zwyczay uważać wszystko i doświadczać, co im tylko nawinęło się: zwyczay bardzo chwalebny, i wart naśladowania, zwłaszcza od młodych) postrzegli mowię, iż te żyły dały się rozbierać na drobnieysze włokna, tak iak sznurek na nitki. To dostrzeżenie, ucieszyło ich niezmiernie, i bardzo wiele wygodziło im na dal.

Rozważaiąc coraz te żyły, wpadło im na myśl, iż mogłyby się przygodzić na narzędzie do bicia ranifetow: nuż co żywo robić około niego. Z korzenia jodłowego, ktory znaleźli, bez wielkiey pracy wyrobili nożem łuk; a żyły niedźwiedzie bardzo dobrze przypadły na cięciwę do łuku. Nie braknęło, tylko strzał ; i te przemyślili szczęśliwie. Z czterech gwoździow wykuli cztery gwoździe do strzał, zaostrzyli je i przywiązali żyłami

do kiykow jodłowych; te w drugim końcu nasadzili piorkami z kokoszek wodnych i jaskułek morskich: owoż łuk i strzały.

Mowię ieszcze raz: człowiek, jest to stworzenie przedziwne: umie on korzystać ze wszystkiego: potrafi znaleść się we wszelkich zdarzeniach; wywinąć się z nayWiększego razu, aby ieno użył na dobre owego przedziwnego, nieoszacowanego i świętego skarbu, ktorym iest obdarzony od stworcy, to iest rozumu. Ludzie! pyszniymy się żeśmy ludźmi; ale oraz czciymy ludzkość w każdym naszym wspołczłowieku, iako tym, ktory tak zacne i drogie dary od dawcy wszech rzeczy zarowno z nami posiada... komu by to przyszło na myśl, iż nikczemny hak żelázny, kilka gwoździ, i korzeń jodłowy, czterem ludziom przez wiele lát posłużą za oręż przeciw napaści zwierząt drapieżnych, dziesięć razy od nich silnieyszych?

i że też same narzędzia, przez tyleż czasu, dostarczać im będą po dostatek żywności! A przecie tak było w rzeczy samey: bo nasi Moskale dzidami swemi kłuli naydrapieżnieysze niedźwiedzie; a czterma strzałami ubili naymniey 250 ranifetow przez cały czas bawienia swego na tey pustey wyspie, nie rachuiąc wielkiego mnostwa lisow białych i niebieskich.

Już teraz nasi wyspiarze mieli dosyć sposobow na opędzenie naywalnieyszych potrzeb. Mogli się bronić niedźwiedziom; mogli bić ranifety i lisy na posiłek i odzienie; wodę czerpali z źrzodeł, tu i owdzie wytryskuiących ze skał; a gdy zimno zamroziło zdroie, na ten czas topili śniegi na wodę. Z tym wszystkim niedostawało im wiele rzeczy do iakiegokolwiek osłodzenia swey siedziby w owey smutney i odludney krainie.

Uzbierali podostatkiem drzewa na

opał,

opał, ale go używali z oszczędnością, bo nie byli pewni, czy zawsze tak obficie drzewa napędzac będzie fala, iak dotąd. Mieli kociołek; ale też to był iedyny statek do czerpania i chowania wody, oraz do topienia śniegu; i nie ważyli się go szarżać codziennym warzeniem. Musieli więc przestawać na mięsie opiekanym, i tak ie jeść bez chleba i jarzyny. Ale kiedy kto codzień na śniadanie, na obiad i na wieczerzą, ma takie jedzenie; niepodobna! żeby mu czasem nie zachciało się jakoweysiś odmiany! Ci więc ludzie przemyślni natężyli rozum, aby wynaleść co takiego, coby im służyło zamiast chleba; jakoż ten ich wynalazek nie był płonny. Oto część mięsiwa zawiesili w dymie u pułapu swoiey budy; gdy się dobrze uwędziło, wieszali je na dachu ze dworu, daiąc baczność, żeby ani niedźwiedź, ani lis go niedosiągł. Mroz i wiatr wysuszyły tak mięso, iż mogli jeść je zamiast chleba z innym świeżym mięsiwem.

Sposob ten, przynosił im dwoiaki pożytek; bo nayprzod zapobiegał, iż im się nieprzyiadał ich pokarm codzienny; a powtore zbywaiący zapas mięsa ochraniał od zepsucia.

Ale nowa nawija się potrzeba. Nadchodziła długa noc, ktora, iak wiadomo z poprzedzaiącey podroży, w owey krainie trwa wciąż blisko czterech miesięcy. Pytam się: co wtedy począć bez światła? skąd dostać świec albo lampy? Rzecze kto: niech palą nieustanny ogień; będzie razem i ciepło i światło. Dobra rada; ale nuż iakowym przypadkiem zagaśnie ogień, zkądże będzie go dostać? Strzelba nie potrafiła zkrzesać ognia bez hupki czyli lątu, a tego ostał im się mały oszczątek od kawałka, wyniesionego z okrętu. Jest sposob, powie kto, krzesania ognia, iakiego używaią dzicy ludzie, to iest przez tarcie dwoch drewien iedno o drugie. Odpowiadam: nuż ten sposob był

im nieznaiomy? A choćby go znali ; to nayprzod trzeba umieć trzeć zręcznie ; powtore, trzeba mieć dwa gatunki drzewa, twarde i miękie ; to zaś drzewo, ktore mieli w zapasie, nie było inne tylko jodłowe, i to mokre. Z tych względow, koniecznie była im lampa potrzebna, nawet dla samego uchowania ognia, aby iakim trafem nieszczęśliwym nie zagasł.

Znowu tedy natężyli myśl, iakim sposobem tey tak ważney i gwałtowney potrzebie dogodzić. Na szczęście! zoczyli mieysce na wyspie, gdzie była żyła gliny czyli ziemi tłustey. To dostrzeżenie, lubo nawiasem wypadłe, dało im pochop do doświadczania, czy się też uda zrobić lampę z tey gliny? Zrobili ; wysuszyli ią przy ogniu ; ukręcili knot z starych szmatek ; naleli łoiem ranifeta. Pali się lampa: lecz coż się dzieie ! oto rozegrzany łoy gdy się rozpalił, zaczął przesiękać i kapać kroplami. Ta nie-

przewidziana okoliczność ztrwożyła ich mocno i zmieszała szyki w całym układzie; ale nie zraziła bynaymniey: zaczęli przemyślać, iakby temu przeciekániu zaradzić. Więc zrobili drugą lampę, ktorą nayprzod wysuszyli na wolnym powietrzu, toż ją rozpaliwszy w ogniu do czerwoności, wrzucili w krochmal zgotowany z mąki, ktorey przecie nie zjedli ieszcze do reszty. Krochmal gorący, chwyciwszy rozpalone naczynie, przeniknął i zatkał naysubtelnieysze dziurki gliny. Wysuszyli lampę; a kiedy ią łojem naleli, doświadczyli z niewymowną swoią radością, iż po takiey polewie, nie przesączała ani krtę tłustości. Żeby ieszcze tym pewniey na wszelki obwarować się przypadek, jeden z nich wyrznąwszy szmatę z koszuli, oblepił ią klaystrem do koła lampy. Na reszcie, aby tak ważne do wygody i potrzeby naczynie trafem iakim nieszczęśliwym niestłukło się, za iedną drogą, zrobili natychmiast kilka lamp ta-

kowych dla zapasu, przyrobiwszy do nich knoty, iuż z koszul swoich, iuż z starych lin, ktore międzу druzgami rozbitego okrętu nad brzegiem znaleźli.

Do tego mieysca służyli nam za wzor waleczni Moskale, co to może przemysł z pilną rozwagą, kiedy ie zagrzeie chęć żywa dopięcia swego zamiaru. Teraz nauczemy się od nich, iak wielkiey wagi rzecz iest, i iak wiele z szczęściem naszym ma związku, dawać báczność i obracać na korzyść to wszystko, co nam samym lub innym doświadczyć zdarzyło się.

Biednych naszych wyspiarzy zaczął szkorbut nagabać. Wiadomo, iż ta choroba zwyczayna żegluiącym, naysrożey dokucza w strefach lodowatych obydwu ziemi biegunow. Zawisła ona na zepsuciu krwi, ktore na samprzod i szczegulniey wydaie się w dziąsłach; ale potym

rozchodzi się po całym ciele i straszliwie chorego trapi i nędzi. Łacno było przewidzieć, że i naszych wyspiarzy niebawnie opanuie szkorbut, tak dalece, że z ciężkością im przyidzie ruszyć się z mieysca, a tym samym wychodzić z budy, strzelać ranifety, bić niedźwiedzie, drwâ przysposabiać; zatym pewna spotka ich zguba, a w pośrzod wielkich boleści, w zimnie, w głodzie, w pragnieniu, bez żadnego ratunku, śmierć nayokropnieysza. Straszliwy na samo wspomnienie los? W takim razie na co się przydadzą wszystkie siły rozumu, cały przemysł w wynalazku śrzodkow przyzwoitych, nieporuszona cierpliwość, nadzieia w Bogu, niezwalczone męstwo, ieżeli te przymioty i cnoty odrębne bedą od istotnych wiadomości i pewnego doświadczenia. Rozum nasz, nie wszystko umie wymyśleć: usilność naywiększa, nie wszystko może dokazać; á pełna dobroci i mądrości opatrzność niema przyczyny coraz nowe czynić

cuda: dosyć jey łaski, kiedy wszechmocną poda prawicę; dosyć, gdy wezwana z ufnością, uyrzawszy, iż czyniemy to wszystko, co tylko iest w mocy naszey, nawinie nam pod rękę śrzodki, i tknie daiąc znać, ażeby się ich chwytać. Do nas należy czuwać pilnie na ten moment, znać się na rzeczach złożonych w świecie, znać ich własności i skutki, mieć zapas własnych i cudzych doświadczeń, chować je w żywey pamięci, a w potrzebie wydobywać, i na korzyść obracać.

Tak właśnie jeden z naszych wyspiarzy, przywykł był od młodości uważać wszystko, co mu własne i cudze doświadczenie podało; oraz uskarbiać w pamięci rozmaite wiadomości, chociaż przewidywać nie mogł, na co by mu się przydać miały. Był to naymłodszy między niemi, Jwan Himkoff, synowiec szypra. Przypomniał on sobie arcy skuteczne lekarstwa na szkorbut. „ Musiemy bra-

„ cia! rzekł do swoich towarzyszow, bar-
„ dzo wiele poruszenia ciała używać,
„ niezważaiąc na zimno i słoty ; bo kto
„ tylko puści się w leżuchostwo i śpiącz-
„ kę, tak iak do niey skłonnym się czuie,
„ ten za kilka dni, tak osłabieie, iż choć-
„ by potym chciał, niepotrafi wstać i ru-
„ szyć się o swoiey mocy. Musiemy tak-
„ że szukać pod śniegiem i lodami wa-
„ rzęchy (inaczey kochleatia) i jeść ią
„ surowo ; bo tak ona zażyta, iest jedy-
„ nym lekarstwem na szkorbut ; a procz
„ tego nię mamy jey w czym gotować.
„ Jeszcze, kiedy tylko zabijemy ranifeta,
„ musiemy pić ciepłą krew iego ; bo tak
„ czynią dawni nasi sąsiedzi Samojedy,
„ nie z roskoszy, ale z potrzeby, pewni
„ będąc że taka krew ranifeta iest le-
„ karstwem niezawodnym na szkorbut.
„ Na reszcie słyszałem od tychże Samo-
„ jedow, że za lekarstwo przeciw szkor-
„ butowi, mrożą ryby i mięso, i zmrożo-
„ ne jedzą surowo. Po prawdzie rzekł-

„ szy, nie mamy ryb, bo nie mamy ich
„ czym łowić ; ale Bogu dzięki! mamy
„ mięso ; więc to wzorem Samojedow za-
„ mrażaymy, i jedzmy surowe. Wyzna-
„ ię, iż nie nawykłym czynić będą wstręt
„ takowe lekarstwa ; ale tam gdzie idzie
„ o leczenie choroby, nie trzeba pytać
„ czy smakuie lekarstwo? lecz czy po-
„ maga. Za mną bracia! podźmy cho-
„ dzić, podźmy szukać warzęchy ; czyń-
„ cie to, co ja czynić będę. „

Dway iego towarzysze, to iest: szyper i flis drugi, słuchali rady iego, i dobrze im się działo. Ale trzeci, nazwiskiem Fiedor Werigin, jako znacznie otyły, a tym samym ociężały, nie dał się na nic namowić. Kiedy inni brodzili po śniegach, jednemu niechciało się ruszyć z posłania miękkiego, i wyść na mroz z napaloney budy ; a posoki ranifeta i mięsa surowego niechciał nigdy wziąść do gęby. To też tamci zdrowi byli i czerstwi,

zwłaszcza Jwan Himkoff, ktory ustawiczną przechadzką, takiey doszedł w biegu chyżości, iż długo potym naydzielnieyszemu koniowi nie dał się wyścignąć: a przeciwnie Fiedor Werigin, gnuśny leżuch i ospalec, tak dalece przeięty został szkorbutem, iż wkrotce nie miał siły do wyiścia z budy; potym stracił ze szczetem władzę w członkach, iż niemogł podnieść ręki do ust, aż go towarzysze z politowania karmić musieli, ni to niemowle w powiciu. W tak opłakanym stanie zostawał wciąż przez lat sześć, poki śmierć nie uczyniła końca iego boleściom. Owo przykład i nauka, iak to dobrze słuchać zdrowey rady ludzi, maiących doświadczenie; oraz iak gnuśność i nałogi zadawnione, szkodliwe są w każdym stanie życia ludzkiego. Człowieka można przyrownać do wody: ta, poki ciągłym tokiem płynie w biegu, poty iest świeża i zdrowa; lecz skoro czas iaki zastoi się w mieyscu spokoynie, natychmiast mieni się i zepsu-

ciu podpada: toż się dzieie z człowiekiem, podaiącym się w prożnowanie i nadmierny spoczynek. Ruchawość, praca, czynność, są jedyne i niezawodne śrzodki do zachowania ciała i duszy w czerstwości i wesołości. Przeciwnie, życie miekkie, gnuśne, i prożniackie, wpędza nas niechybnie w nudy, słabości, choroby i nędzę.

Wyspiarze nasi bardzo wiele iuż dotąd wytrzymali i przemogli przykrości; ale im ieszcze nie rownie więcey do wytrzymania pozostało. Wszystkie prawie koszule wyszarpali na knoty do lampy; reszty trzeba było ochraniać bardzo oszczędnie. Pończochy i trzewiki zdarły się; suknie w tąż, a tu właśnie dopiero zaczynała się zima. Gwałtem trzeba nowey odzieży; a zkądże ią wziąść? Prawdę rzekszy, mieli dostatek skur niedźwiedzich, ranifetow, i lisow; ale te, iako surowe, nie zdáły się do noszenia. Jakże je, i czym wyprawić? co począć z wy-

prawnemi, kiedy żaden, ani krawiectwa, ani szewctwa nie umiał? a do tego, nie mieli ani nożyc, ani igieł, ani szydeł, ani nici, ani tratwy; jakże bez tych wszystkich narzędzi szyć suknie, trzewiki, albo boty? wszystko to arcy twarde do załatwienia artykuły, nad każdym z osobna trzeba było dobrze głowy nasuszyć!

Naypierwszą mysl obrocili do wyprawy. Na ten koniec kilka skur namoczyli w wodzie przez wiele dni, aż poki zmiękły zupełnie, i cokolwiek nawet podgniły: potym z nich obciągali i skubali szerść; to dobrze udało się. Obchędożone skury z szerści, tarli w ręku poty, poki nie wyschły: toż nasmarowali je tłustością ranifeta, i znowu wycierali w ręku: przez ten sposob zrobiły się skury miękkie, gładkie, i do czegoś przydatne; przeznaczyli je więc na trzewiki i buty.

Ale tu futra trzeba było na tak

straszliwe, iakie następowały zimna; owoż należało skury tak przyprawić, żeby straciły twardość i surowość, bez nadwerężenia włosow. Po długich radach i namysłach, uczynili doświadczenie, ktore im z wielką pociechą udało się szczęśliwie; to iest nayprzod skury przeznaczone na kożuchy, namoczyli w wodzie przez dzień ieden, aby tylko odmiękły; potym tarli je w ręku, aż uschły, nie tykaiąc nic włosow: przez ten sposob za kilka dni wyprawili bardzo wiele skur na futra.

Ale nowa potrzeba. Zkąd dostać igieł i szydeł? zkąd wziąść nici i dratwy? Jeszcze na to poślednie znaydzie się sposob; bo wiedzieli, iż żyły z niedźwiedzi i ranifetow dzielą się na rozmaite włokna, cieńsze i grubsze. Zgoda; są dratwy i nici, ale zkąd igieł dostać?... Moskale nasi, niespracowani rownie, iak i przemyślni, zaczęli kuc jeden gwoźdź tak cienko, iak drut. Nagrzawszy drut ten,

przebili go końcem noża w jednym brzegu, tak iż się zrobiła dziurka iak w jglicy siodlarskiey. Podcięli ten drut w przyzwoitey długości, a trąc go i wecuiąc o kamienie, tak naostrzyli, wyszlifowali i wygładzili, iak naylepiey wyrobione u nas igły. Cała wada igieł ich roboty była ta, że w głowkach miały dziurę ostrą, przerzynaiącą nici; ale temu niepodobna było zaradzić.

Przysposobiwszy narzędzia, założyli warsztaty, szewcki i krawiecki. Tam to było przypatrzyć się, iak jeden szyie boty, drugi spodnie, trzeci suknią nowego wynalazku i kroju. Ten trzyma się dawnego trybu, i nowe suknie szyie na wzor starych; ow stosownie do zimnego kraju, wynayduie nowy kształt odzienia, to iest iż niechce mieć sukni roztworzoney połami z przodu, ale zaszytą okrągło, tak iż by się wdziewała iak koszula przez głowę. Do tey sukni przydaie ka-

ptur z klapami do podpięcia pod szyią, tak głęboki, że go wdziawszy na głowę, zasłoni się twarz zupełnie, z bardzo małym przetworem dla widoku... Noż służył za nożyce do roboty krawieckiey, a za gnyp do szewckiey. Na ten raz porobili same tylko suknie z kożuchow, bo nadchodziła zima. Ale na lato sporządzili suknie ze skur, cale wyprawnych i obdartych z kudłow, stosuiąc się do łagodnieyszey pory. Tak to ci niespracowani i nie zwalczeni ludzie, lubo wszelkiey pozbawieni pomocy, i narzędzi potrzebnych, wszelako przemysłem, usilnością i pracą, potrafili opatrzyć sobie wszystkie naypilnieysze potrzeby! Już stan ich, mogłby sie w nieiaki sposob zdawać znośnieyszy, gdyby ta myśl: iż jeden z nich, ktory swoich towarzyszow przeżyie, pozostanie samotny, opuszczony, i na reszcie w nędzy i tesknocie będzie musiał życia dokonać... gdyby mowię, ta myśl snuiąc im się często w całey swoiey okropności, nie zaprawiała goryczą iakożkolwiek wypogodzonych umysłow.

Biedny szyper, miał ieszcze inny powod do smutku: odjachał on był żony swoiey z troygiem dziatek. Kiedykolwiek po trudach dziennych, zabrał się do spoczynku, myśl iego zabiegłszy w kray Moskiewski, stawała w gronie tego, co tylko miał w świecie naymilsze. Z nayczulszym żalem wpatrywał się on w obraz stroskaney małżonki, iż żadney wiadomości o nim niemiała; w obrazy dzieci, opłakuiących z matką osierocenie swoie po oycu. O! wieleż to razy w rzewnych łzach pływały iego powieki! gdy tym czasem towarzysze spokoynym snem uśpieni tęgo chrapali! Ale to go nic niewyłączało od prac i zabaw zwyczaynych; w rownym ciągu szedł on zawsze z drugiemi; oddalał od siebie wszelkie smutne widoki; i tak rzesko zatrudniał się ręczną robotą, iak gdyby niemiał ani żony, ani dzieci. Nauka: iak to dobrze mieć na wodzy uczucia i namiętności, stosownie do okoliczności i czasu; i iak częstokroć trzeba

je mężnie przytłumiać, kiedy istotne obowiązki wzywaią nas do czego innego: tak miarkowane uczucia, są ku wielkiey wygodzie, bo zamiast wprawienia w miękkość, podnoszą owszem duszę ku pociągom szlachetnym: w takim razie nie zhańbi mędrca, uronić kilka rzewnych łez, ktore drogi ludzkości pociąg słodko wyciska! „

Opisawszy sposoby, iakiemi wyspiarze nasi opędzali swe naypierwsze potrzeby, czas iest przypatrzyć się szczegulnym własnościom tey wyspy, na ktorey mieszkali. To wszystko, co się rzekło o Spitzbergu w poprzedzaiącey podroży, może się rownie i do tey wyspy, iako jey części, przystosować. Długość jey i szerokość, zaymuie około mil 40: tak iest pusta, iak i Spitzberg; same tylko niedźwiedzie białe, ranifety, lisy białe i niebieskie na niey chowaią się. Cała wyspa, iest w gorach i skałach spiczastych, nad zwyczaynie wysokich, a śniegiem i lodami

przez rok cały pokrytych. Oprocz ziela warzęchy, gdzie niegdzie rosnącey, i mchow wszędzie obfitych, żadney inney rośliny w całey wyspie nie widac. Między skałami wytryskuią wszędzie zrzodła, ktore strumieniami tocząc się zapadaią w morze. Naydłuższa noc w zimie trwa około czterech miesięcy, i tyleż dzień naydłuższy latem. Po zniknieniu słońca z horyzontu, to iest w czasie ciągłey nocy zimowey, xiężyc przyświeca prawie przez dwa miesiące wciąż, i tak iak słońce latem nie zachodzi. Bardzo jasne zorza pułnocne, są wielkim darem dla tych krain biegunowych w czasie ciągłey nocy. Mrozy, iak wiadomo, panuią tam arcy tęgie. Wszelako uważali wyspiarze nasi, iż mrozy przegradza odwilż, prawie od puł listopadá, gdzie deszcze ustawiczne padaią aż do stycznia, to iest niemal przez siedm niedziel. W czasie tych pluskow nieustannych, powietrze iest dosyć łagodne, prawie tak iak u nas,

kiedy pada deszcz zimą. Bardzo rzadko przypadaią burze w tych stronach. Przez całe sześć lat nasi wyspiarze raz tylko ieden posłyszeli głuchy i daleki łoskot grzmotu. Śniegi do niezmierney wysokości zimą padaią. Można ztąd wnosić, iż buda na trzy sążnie wysoka, pospolicie tak śniegami była zasypana, że nie mogli z niey wyiść inaczey, tylko przez dziurę wydartą w dachu.

Moskale nasi ieszcze jednę osobliwość dostrzegli, to iest iż przez cały czas ich mieszkania na tey wyspie, nie poczuli naymnieyszego robactwa przy ciele, lubo niepodobna im było ochędostwa dostrzegać, bądź około siebie, bądź w odzieniu, i chociaż dosyć im się dawało we znaki takowe robactwo, iuż przed tym ich nieszczęściem, iuż po nim. Wędrownicy przepływaiący przez linią, czyli ekwator, doświadczaią teyże samey osobliwości. Ma bydź rzeczą pewną, że flisi obsypani

robactwem, natychmiast widzą się bydź wolnemi od niego, skoro okręt pod ekwator podpływa ; i przeciwnie, gdy okręt przeydzie nazad w tę stronę ekwatora, natychmiast robactwo, tak iak dawniey, ich obsiada. Nic ja o prawdzie i wywodzie tey osobliwości nie ważę się rozsądzać ; wszakże ieśliby była prawdziwa, tedy należałoby dochodzić, dla czego przeprawa za ekwator, zrządza ten sam skutek, co przejazd za kres biegunowy.

Tak rozumiem, iż moi czytelnicy nie zechcą po mnie wyciągać, ażebym im wystawił ciągły dziennik biednego życia, iakie ci nieboracy iednostaynie na tey wyspie prowadzili: boday by to nie było niepodobnych rzeczy wymagać! Bo czy można, aby ci ludzie, ktorzy żadnego narzędzia do pisania nie mieli, i iedynie ochroną życia własnego zatrudnieni byli, aby mowię ci ludzie każdego dnia spisywali dzieje swoie i przypadki! Dosyć iest

powiedzieć, iż tak okropny życia sposob wytrzymali więcey niż przez sześć lat; bo przez cały ten czas ani ieden okręt nie ukazał się w owey stronie. „ Więcey niż sześć lat!... proszę zważyć, „ co to znaczy! „

Nieszczęśliwy Werigin przez cały ten czas ponosił karę, i to bardzo dotkliwą za swoie leżuchostwo, w ktore się podał od samego początku. Nie mogąc się ani ruszyć, ani podnieść, ani nayinnieyszey rzeczy robić, musiał ciągle leżyć w niewymownych boleściach, przyimuiąc pokarm i wszelkie wysługi od poczciwych swoich towarzyszow. Na reszcie dobroczynna i długo pożądana śmierć, zamroczyła go snem wiecznym, i oswobodziła z męczarni. Koledzy z wielkim żalem sprawili mu pogrzeb w śniegu.

Rozumiałby kto, że trzey pozostali wyspiarze, radzi są iż się pozbyli chore-

go, ktory, nie można rzec inaczey, tylko że był strasznym dla nich ciężarem. Ale nie iest tak. O! co by oni byli dali za przedłużenie mu życia!... ieszczeby drugie tyle przykrości przez drugie sześć lat wytrzymać chętnie podięli się! Bo chociaż on na nic im się nieprzydał; wszeláko był to człowiek, była to osoba, ktora drobne ich towarzystwo pomnażała iednym więcey: a kto żyie na pustey wyspie tak iak oni, kto niezmiernym oceanem przegrodzony iest od innych ludzi, oy taki iest bardzo łakomy na ludzkie towarzystwo! Sama obecność człowieka, iest u niego ceny nieskończoney.,,

,, Tak to ociec powszechny umiał iednym
,, społeczności ogniwem połączyć wszyst-
,, kie swoie dzieci. Przydaymyż iż ta
,, okoliczność odnawiała im myśl okropną,
,, że tak ieden po drugim wymierać będą,
,, aż poki na iednego nieszczęśliwy los
,, opuszczenia i samotności nie zwali się.
,, Kto chce poznać srogość tey myśli, nie-

cháy się tylko w osobie ktorego z tych biednych postawi.

Ale czas iest tak dziwną i osobliwą historyą doprowadzić do kresu. Jednego dnia, gdy wyszli nad ląd morski, aby zebrać wyrzucone falą drzewo, i gdy z utesknieniem poglądali na morze ku owey stronie, w ktorey względem nich leżał kray moskiewski, dostrzegli z nienacka (a tu kto wyrázi ich radość z tego widoku!) dostrzegli okręt płynący po morzu, bardzo daleko od wyspy. Osłupieli przez czas niejaki nad tak niespodzianym zdarzeniem. Ale przyszedłszy ksobie, i pomyśliwszy, że ieżeli prożno stać i tylko czczą radością nasycać się będą, tedy okręt odpłynie daley, a może iuż nigdy więcey ich się oczom nieukaże... poskoczyli prędko do budy, przynieśli drew, rozniecili jak naywiększy ogień na dwoch pagorkach, tak, iż dym z płomieniem dosięgał obłokow. Jeden z nich przynioż-

szy skurę ranifeta, przywiązał iak chorągiew do żerdzi, a stanąwszy nad brzegiem morskim wywijał nią, ukazuiąc okrętowi, iż są ludzie wzywaiący ratunku. Na szczęście zoczono z okrętu ogień i chorągiew; a zatym szyper dopełniaiąc świętych obowiązkow ludzkości, zawinął do brzegu. Uchwycono kotwicami okręt niedaleko od lądu, a wyprawiono czołn z ludźmi na wzwiady, kto taki iest na wyspie?

Proszę sobie wystawić radość naszych wyspiarzy, a zadziwienie okrętowych, widząc przed sobą trzy ludzkie postaci, odziane skurą i futrami! tym większe zadumienie było, gdy posłyszeli ich mowiących po moskiewsku, ponieważ sami byli moskale! a naybardziey gdy się dowiedzieli, że ci biedni więcey niż sześć lat przepędzili w tym kraju lodow i śniegow, i tak długo wyżyć mogli!

Okręt ten wyprawiony z portu Ar-

chanioła, miał płynąć ku stronie zachodniey Spitzbergu, na połow wielorybow. Mimo woli szypra, ale szczęśliwie dla naszych wyspiarzy, gwałtowny szturm rzucił go w stronę wschodnią wyspy. Tak to częstokroć niepomyślność iednego, staie się szczęściem dla drugich!

Zezwolono chętnie zabráć na okręt trzech naszych Robinsonow z całą ich posiadłością, i do własnego kraju zawieść. Szyper zamowił sobie zapłatę za to 80 rublow; chętnie na nią przystali. „ Hamuy czytelniku! w tym momencie sąd „ twoy. Widzę ja, że się zapalasz gniewem na szypra, i masz go za okrutnika, za potworę o to, iż szlachetny czyn „ ludzkości każe sobie opłacać tak „ drogo . . . Ale postaw się ieno w zimney krwi, a z uwagą wyrozumiey rzecz „ całą, ręczę iż zdanie odmienisz.

Trzeba wiedzieć, iż tym ludziom pozwolono zabrać z sobą wszystkie rupięcie.

Prawdę rzekłszy, nie były to rupiecie, ale znaczny maiątek. Oto: 2,000 funtow łoju ranifetow; przeszło 200 skur tychże zwierząt; dziesięć futer niedźwiedzi, wielkie mnostwo futer lisow białych i niebieskich. Przydaymyż ich ubiory letnie i zimowe; dzidy, łuki, strzały, lampy, siekierę ktora się wyrobiła prawie do samey osady, noż także wyrobiony, nici z żył, dratwy, igły w puzderku bardzo kształtnie od nich sporządzonym. Nakoniec porachuymy życie i utrzymywanie tych ludzi, przez całą żeglugę aż na mieysce. To wszystko zważywszy, nie nazwiemy szypra okrutnym, ale owszem dosyć ludzkim, iż trzy osoby z towarem wartości w Moskwie przeszło 2,000 rublow wynoszącym przewożąc, na tak szczupłey kwocie przestał.

Poznosiwszy na okręt wyż wymienione rzeczy, podniesiono kotwice, i z niewymowną radością wyspiarze nasi pożegnali krainę, w ktorey nędzne i pełne ro-

spaczy życie przepędzili blisko przez sześć lat i miesięcy trzy. Po żegludze piąciotygodniowey, stanęli szczęśliwie w porcie Archanioła.

Kiedy wysiadali na ląd, zdarzył się przypadek, ktory o włos nie skończył się bardzo okropnie. Żona szypra Alexieja Himkoffa, ktora przez długi czas opłakiwała męża swego, iako wiecznie zgubionego, trafem iakowymsiś znaydowała się na moście w Archaniole w tedy właśnie, kiedy okręt tuż przy nim zarzucił kotwice. Postrzega męża, poznaie, a wykrzyknąwszy z radości, skacze z mostu na burtę, chcąc go iak nayprędzey uściskać. Ale niedoskoczywszy do burty, wpada w wodę, pogrąża się tak dalece iż mocno namęczyli się flisi, nim ją żywą przecie dostali. „ O! coż by to był za okrutny cios „ dla ciebie biedny Himkoffie! gdybyś po „ tylu wytrzymanych trudach, przybyszy do domu, w momencie powitania „ i uciśnienia żony, widział ją utopioną!

„ Uczmy się: jak to nayczyścieysze u-
„ czuciow zapały, skoro im się trochę
„ nadto wodzy popuści, unieść nas mogą
„ do niebespiecznych zdarzeń!

Wielcy i prawdziwi bohatyrowie nasi wysiedli na ląd w swoim stroju Spitzbergskim. Gromady zdumiałego ludu przyimowały ich z radośnemi okrzykami, a znacznieysze osoby zapraszały do siebie jednego po drugim zapytuiąc ciekawie o rozmaitych im zdarzonych przypadkach: przypatrywano się ich sprzętom, i zupełnie przekonano się o rzetelności tego wszystkiego, co się dotąd wyraziło.

KONIEC

Tomiku Pierwszego.



